



MYŚLIWIEC

KRAKOWSKI

KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI



WIOSNA 2022
KRAKÓW

W ten czas niespokojny
pomimo wszystko
zdrowych i pogodnych
Świąt Wielkanocnych
życzy
Zarząd Okręgowy PZŁ
w Krakowie
i
redakcja Myśliwca

Źle się dzieje w państwie duńskim...

Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy

Dzisiejszą sytuację w naszym zrzeszeniu w pełni oddaje cytat pochodzący z „Hamleta” Williama Szekspira, „źle się dzieje w państwie duńskim”. Te słowa wypowiedziane przez oficera Marcellusa, gdy królewicz Hamlet, mimo protestów towarzyszy, podąża za duchem swego ojca (którego widzi wyłącznie sam), w pełni oddają cechy dzisiejszej politycznej władzy PZŁ, z którą poddani (wszyscy członkowie z małymi wyjątkami) nie powinni, a wręcz nie mogą dyskutować, jeżeli chcą zachować już nie tyle swe twarze, co związkowe głowy. Abstrahując od „utrąty głowy” to nawet dysput medialnych nie ma jak czynić, gdyż choćby Naczelna Rada Łowiecka (ostatni bastion samorządności) jest skutecznie informacyjnie blokowana przez Zarząd Główny. Zarówno strona internetowa PZŁ, jak i łamy Łowca Polskiego, pomimo uchwały NRŁ w tej sprawie, nie są dla niej dostępne.

Jak zapewne pamiętacie tę smutną rzeczywistość odzierania naszej organizacji z samorządności zapoczątkowały zmiany w Ustawie Prawo łowieckie (2018 rok) oraz choćby późniejsze wprowadzenie reżimu covidowego. Pierwsze przysłowiowe „gwoździe” wbito likwidując Okręgowe Rady Łowieckie i organy kontroli na szczeblu okręgowym i centralnym. Następne bretnale wprowadzono w „związkowe ciało” dokonując zmian w trybie powoływania łowczego krajowego, członków Zarządu Głównego, łowczych okręgowych i członków Zarządów Okręgowych.

Skutkiem tych wypaczeń jest narastający konflikt na szczeblu centralnym między Naczelną Radą Łowiecką a Zarządem Głównym. Przyczyna konfliktu jest oczywista – łowczy krajowy i ZG PZŁ działający z nadania politycznego realizują zadania narzucone przez organy władzy, nierzadko ignorując uchwały i postanowienia nie tylko NRŁ lecz nawet Krajowego Zjazdu

Delegatów – łamiąc zapisy Statutu PZŁ. Z kolei członkowie NRŁ, działając w oparciu o demokratyczne mandaty, reprezentują członków Zrzeszenia i ich interesy. Wyrazem zaniepokojenia i obaw o przyszłość PZŁ, jest stanowisko NRŁ przesłane we wrześniu ubiegłego roku do Ministra Klimatu i Środowiska. W rezolucji tej przedstawiono między innymi negatywne skutki: likwidacji okręgowych rad łowieckich i organów kontrolnych, braku kompetencji wśród większości powoływanych łowczych krajowych i okręgowych, przeniesienia głównej odpowiedzialności Państwa za walkę z ASF na PZŁ, czy też zakazu udziału młodzieży, w tym dzieci myśliwych, w polowaniach. Czy to wystarczy, abyśmy odzyskali samorządność? – zapewne nie. Czy czekają nas zmiany? – zapewne tak. Ale zanim one nastąpią być może priorytetem dla naszego zrzeszenia powinno być, aby nasza łowiecka władza, i ta z nadania i ta demokratyczna, uporządkowała swe sprawy, zakończyła właśnie i wspólnie z resortem Środowiska rozpoczęła budowę Prawidłowego Łowiectwa w Polsce. Łowiectwa demokratycznego i zdecentralizowanego, opartego na identyfikowaniu i zaspokajaniu naszych lokalnych potrzeb, a nie postrzeganego wyłącznie z perspektywy warszawskich biur.

Czego nam wszystkim życzę.



dr hab. inż. Marek Wajdzik,
prof. URK
leśnik, pracownik naukowy
Uniwersytetu Rolniczego
w Krakowie, wykładowca
Gospodarki łowieckiej.
Działacz łowiecki,
członek NRŁ.



Szakal złocisty

– nowy gość w naszych łowiskach

Henryk Okarma

Pierwsze bezdyskusyjne stwierdzenia szakali złocistych w Polsce w 2015 roku były medialną sensacją. Sprawy potoczyły się bardzo szybko i w 2017 roku szakal złocisty został wpisany na listę gatunków łownych, z zastrzeżeniem, że pozyskanie będzie możliwe dopiero od 2019 roku. Decyzja ta jest mocno krytykowana, gdyż twarde fakty, zarówno prawne jak i biologiczne, jednoznacznie wskazują, że szakala nie powinno się jeszcze uznać w Polsce za gatunek łowny. Po pierwsze, jest on objęty postanowieniami Dyrektywy Siedliskowej Unii Europejskiej (załącznik V), co oznacza, że jego pozyskanie ze stanu dzikiego i eksploatacja może podlegać działaniom w zakresie zarządzania (innymi słowy, można na ten gatunek polować, ale po spełnieniu

określonych warunków). Polska, podobnie jak inne państwa członkowskie UE ma obowiązek utrzymania właściwego stanu ochrony tego gatunku, stąd jego pozyskanie łowieckie może być prowadzone tylko tak, aby nie zagrozić utrzymaniu lub uzyskaniu takiego statusu ochronnego. Jak można założyć, aby temu zapisać, skoro nieznane jest występowanie szakali, nieznana liczebność, nieznana ekologia, nieznany wpływ na gatunki rodzime, nic! Po drugie, nie można zasłaniać się argumentem, że szakal złocisty jest gatunkiem obcym. Ekspansja tego drapieżnika w Europie ma całkowicie naturalny charakter, nie został on ani celowo wprowadzony, ani przypadkowo zawleczony przez człowieka. Nie ma też żadnych poważnych dowodów na jego inwazyjność,

szkodliwy wpływ na gatunki rodzime.

Myśliwi mają, niestety, nikłą wiedzę o tym gatunku, a powinniśmy te braki szybko nadrobić, skoro w mocy prawa już nim, niestety, gospodarujemy.

Podstawy biologii gatunku

Szakal złocisty (*Canis aureus*) jest średniej wielkości ssakiem drapieżnym należącym do rodziny psowatych. Wyglądem przypomina średniej wielkości psa (ryc. 1). Sylwetka o wyrównanych proporcjach sprawia wrażenie zwierzęcia dość wysokiego. Ogon o długości ok. 1/3 całej długości ciała, w ruchu opuszczony, sięga do stawu skokowego. Kończyny są stosunkowo długie, zakończone łapami z charakterystycznie częściowo zrośniętymi opuszkami środkowych palców (ryc. 2). Szyja raczej długa, głowa w kształcie klina, pysk ostro zakończony. Uszy średniej wielkości, na końcach tępe i lekko zaokrąglone. W warunkach terenowych szakal złocisty często może być mylony z wilkiem i lisem. Wilk jest jednak znacznie większy, ma masywniejszą budowę ciała i jest bardziej szaro ubarwiony; lis natomiast jest mniejszy od szakala, ma dużo dłuższy i grubszy ogon, a kolor jego futra jest zdecydowanie bardziej rudy.

Masa ciała dorosłych osobników waha się od 7 do 15 kg, samce są nieco większe od samic. Długość ciała dorosłych osobników wynosi 80–90 cm u samców i 75–85 cm u samic. Ogon mierzy 20–40 cm.

Ubarwienie szakala jest rudo-złocisto-

szare. Futro na grzbiecie składa się z mieszaniny włosów czarnych, brązowych i białych, czasami tworząc coś w rodzaju ciemnego „siodła”. Wargi, podgardle, brzuch i wewnętrzne strony kończyn są jaśniejsze, białe lub popielato-szare. Ogon dość puszysty z czarną końcówką.

Szakale, ze względu na swoją plastyczność siedliskową i różnorodną dietę, mogą zasiedlać szerokie spektrum naturalnych i półnaturalnych środowisk, a także bytować w krajobrazie typowo rolniczym. W Europie drapieżniki te są głównie związane z terenami podmokłymi, dolinami rzek oraz mozaiką terenów otwartych oraz zadrzewionych. Preferują miejsca podmokłe, trzcinowiska, tereny pokryte roślinnością krzewiastą lub tereny ruderalne. Zamieszkują też obszary zagospodarowane rolniczo z wysokim udziałem krzewów i powierzchni ugorowanych. Mogą też bytować w bliskim sąsiedztwie człowieka.

Szakale charakteryzują się szerokim spektrum pokarmowym, są wszystkożerne (zjadają pokarm zwierzęcy i roślinny), a ich dieta może się zmieniać w zależności od obszaru, sezonu i dostępności pokarmu. Podstawą diety są gryzonie, ale zjadają także padlinę, ptaki, gady, ryby, owoce, bezkręgowce oraz pokarm pochodzenia antropogenicznego. Szakale potrafią także polować na większe ofiary, jak młode dziki i sarny, oraz zabijać owce, jagnięta, a nawet nowo narodzone cielęta.

Szakal złocisty jest gatunkiem socjalnym. Drapieżniki te żyją zazwyczaj w parach lub niewielkich grupach (zwykle nie większych

Ryc. 2. Zrośnięte opuszki środkowych palców u szakala (fot. Wojciech Włosiński)



niż 4-5 osobników) złożonych z pary rodzicielskiej i potomstwa z poprzednich lat. Pary lub grupy rodzinne zajmują rozłączne terytoria, które są znakowane moczem i odchodami. Szakale zaznaczają też swoją obecność wydając przeciągłe szczeknięcia i wycia, szczególnie w okresie poprzedzającym okres rozrodczy. Terytoria poszczególnych grup mogą się częściowo nakładać, a ich wielkość wynosi 1-20 km². Zagęszczenie grup szakali różni się silnie w zależności od lokalizacji geograficznej i dostępności pokarmu, waha się od ok. 1 grupy/10 km² do nawet 5 grup/10 km².

Ruja ma miejsce zazwyczaj od stycznia do marca, ciąża trwa 63 dni. Samice szakala rodzą w samodzielnie wykopanych norach lub zasiedlają na okres rozrodu nory borsuków lub lisów. Młode rodzą się zazwyczaj w kwietniu-maju w liczbie od 3 do 8 (maksymalnie 12) szczeniąt w miocie. Oboje rodzice biorą udział w wychowaniu młodych. Szakale osiągają dojrzałość płciową w wieku

11 miesięcy, choć rzadko rozmnażają się po pierwszym roku. Badania genetyczne wykazały, że zdarzają się przypadki krzyżowania się samic szakala z wilkami oraz psami domowymi.

Występowanie

Pierwotny areal występowania gatunku obejmował właściwie całą południową i centralną Azję: od Turcji i Półwyspu Arabskiego, przez Iran, Indie, aż po Kambodżę i Wietnam, a w Europie ograniczał się do obszarów przybrzeżnych Morza Śródziemnego i Morza Czarnego. Już w XIX wieku rozpoczął się stopniowy proces ekspansji gatunku z południowo-wschodniej części kontynentu w kierunku północnym i zachodnim, jednak w pierwszej połowie XX wieku, głównie z powodu tępienia przez człowieka, nastąpił duży spadek liczebności tych drapieżników. Gatunek zachował się dość dobrze jedynie w Bułgarii

skąd, w wyniku działań ochronnych, stopniowo powrócił na poprzedni obszar występowania w południowej Europie. Od lat 90. XX wieku obserwuje się szybką ekspansję szakali na wschodzie i w centrum Europy. Obecnie stabilne populacje szakala złocistego zasiedlają Półwysp Bałkański, Węgry, Austrię i Estonię, a pojedyncze osobniki stwierdzano także w Szwajcarii, Niemczech, Danii, Francji, a nawet w Norwegii i Finlandii.

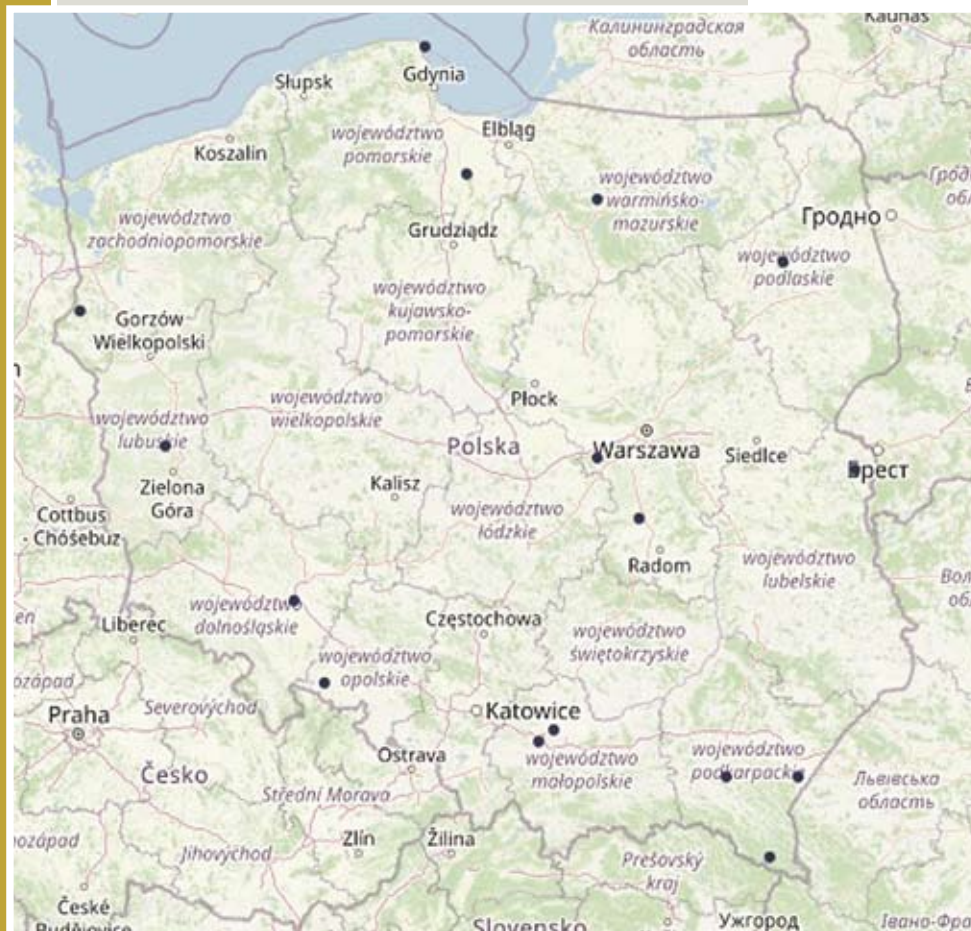
Występowanie szakali złocistych w Polsce według „Atlasu ssaków Polski” [https://www.iop.krakow.pl/Ssaki/gatunek/204\(stan na koniec 2021 r.\)](https://www.iop.krakow.pl/Ssaki/gatunek/204(stan%20na%20koniec%202021%20r.))

Do 2015 r. gatunek ten nie był wykazywany w Polsce, chociaż pojawił się już w krajach ościennych: Niemczech, Czechach, Słowacji, Białorusi i na Litwie. Pierwsze bezdyskusyjne stwierdzenie szakala złocistego w naszym kraju miało miejsce wiosną 2015 r., kiedy to jeden osobnik został potrącony przez samochód w okolicach miejscowości Krajnik Dolny (województwo zachodniopomorskie), w pobliżu granicy z Niemcami. Kolejne udokumentowane fotograficznie obserwacje pochodziły z maja-lipca 2015 z doliny Biebrzy, północnego Polesia oraz okolic Rzeszowa przy granicy z Ukrainą. Według danych z „Atlasu ssaków Polski” (Instytut Ochrony Przyrody PAN) do końca 2021 r., stwierdzono w naszym kraju tylko 19 pewnych przypadków występowania tych drapieżników rozrzuconych w 16 kwadratach atlasowych (ryc. 3). Wskazuje to jednak na fakt, że naturalna ekspansja tego gatunku ciągle postępuje i szakale będą stopniowo zwiększać swoją liczebność i zasiedlać coraz większe obszary naszego kraju.

Niestety, nie można w żaden sposób wierzyć informacjom o występowaniu i liczebności tych drapieżników zamieszczonym w oficjalnej sprawozdawczości łowieckiej. Według bowiem najświeższych danych zawartych w Banku Danych o Lasach, który otrzymuje z kolei informacje z Polskiego Związku Łowieckiego, wielkość populacji tego gatunku w Polsce na dzień 10 marca 2021 r. nasi koledzy myśliwi oszacowali na aż 1507 osobników! Jeszcze bardziej zdumiewające jest wykazane

Trop szakala odcisnięty w błocie z charakterystycznymi zrośniętymi opuszkami środkowych palców (fot. Andrzej Uhl)

pozyskanie w sezonie 2020/2021: 40 osobników (w samej Małopolsce wykazano 9 odstrzelonych szakali). Osobiście skontaktowałem się z dzierżawcami wszystkich obwodów łowieckich, gdzie rzekomo to pozyskanie miało miejsce i wszyscy twierdzili, że to jakaś pomyłka. Jedynym wyjątkiem jest województwo opolskie, gdzie rzeczywiście pozyskano 2 osobniki. Można się więc zastanawiać, co warte są dane zawarte w oficjalnej sprawozdawczości, ale to już inny temat.



Szakal złocisty w Małopolsce

W niedzielny poranek 31 marca 2019 r. samochód śmiertelnie potrafił szakala praktycznie w centrum Krakowa, na al. Bora Komorowskiego. Był to pierwszy udokumentowany przypadek stwierdzenia tego gatunku w Polsce Południowej.

W dniu 15 października 2021 r. kolega Andrzej Uhl spotkał szakala złocistego na terenie obwodu KŁ „Podwawelskie” w Krakowie. Udało mu się zrobić kilka zdjęć tego osobnika oraz pozostawionego tropu przedniej łapy.

Jest więc więcej niż prawdopodobne, że szakale złociste bytują w Krakowie i okolicach. Zwracam się z prośbą do wszystkich kolegów o zwrócenie baczniejszej uwagi na możliwość występowania tych drapieżników i przesyłanie do mnie wszelkich informacji, które mógłbym zweryfikować.



Szakal złocisty zabity przez samochód w Krakowie w 2019 r. (fot. Wojciech Włosiński)



Szakal złocisty (fot. Andrzej Uhl)



prof. dr hab. Henryk Okarma
biolog, pracownik naukowy Instytutu Ochrony Przyrody PAN i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się ekologią zwierząt, biologią łowiecką i ochroną przyrody. Autor licznych prac naukowych i książek dotyczących łowiectwa

KOLONIE RYBITW SPRZYJAJĄ GNIAZDOWANIU KACZEK

KILKA ZDAŃ O TWORZENIU NOWYCH SIEDLISK DLA PTAKÓW WODNYCH



Damian G. Wiehle

Tworzenie nowych siedlisk bądź odtwarzanie dotychczasowych, powinno być jednym z ważniejszych priorytetów ochrony konserwatorskiej, a edukacja na poziomie studiów magisterskich standardem w ośrodkach akademickich naszego kraju. Wynika to z pilnej potrzeby wzrastających usług ekosystemowych oraz narastających konfliktów społecznych. Obserwowany permanentny brak wiedzy podczas dyskusji stron konfliktu negatywnie przeistacza każdą dyskusję w awanturę, gdzie nie siła argumentów, lecz polityka zaczyna ważyć więcej. Ingerencja w środowisko naturalne ze strony człowieka na obszarze kontynentalnej Europy przekroczyła Rubikon już kilka wieków temu. Zmieniliśmy zasadniczo wszystko, poczynając od każdego typu krajobrazu, zbiorowiska ro-

ślinnego, cieku, a na akwenach, w tym akwenach morskich, kończąc. W następstwie tych działań dotychczasowa szata roślinna definiująca bioróżnorodność przyrodniczą i mnogość grup organizmów tam bytujących uległa zniszczeniu, a w najlepszym przypadku znacznemu uproszczeniu pod względem gatunkowym. Stoi za tym m.in. wszechobecna chemizacja rolnictwa w postaci powszechnie stosowanych mieszanin pestycydowo-herbicydowych i nawozów przy historycznym przesuszeniu profili glebowych, gdzie woda postrzegana była jako utrudnienie prowadzonych upraw agrarnych. Okrojone i pofragmentowane biotopy z bezkręgowcami i kręgowcami utraciły swoje stabilne liczebności, a wyjściowe arealy czy zasięgi występowania poszczególnych gatunków uległy



Gniazdo z jajami rybitwy rzecznej (fot. D. Wiehle)

znaczącemu skurczeniu. Wiele gatunków bezpowrotnie ustąpiło bądź wyginęło, a te uznawane jeszcze kilka dekad temu za liczne, obecnie wchodzą w skład nowych edycji „Czerwonych list ...”, przegrywając z apetytem zaspokajania korzyści ekonomicznych bądź kulturowych człowieka. W tym samym czasie jako społeczeństwo Europy osiągnęliśmy apogeum intelektualno-techniczne, a zaawansowane technologie przesuwają kolejne granice dawnych ograniczeń zasadniczo w każdej dziedzinie nauki. W ostatnich latach narastają niepokojąco zjawiska związane z globalnymi zmianami klimatu planety. W naszej szerokości geograficznej skutkujące m.in. brakiem śnieżnych zim czy opadów atmosferycznych w miesiącach, kiedy woda bądź pokrywa śnieżna jest najbardziej potrzebna. Niestety część zjawisk atmosferycznych wymknęło się już spod kontroli, kolejne wymkną, a rozregulowany przez człowieka stan naturalnej samoregulacji, przestał już dawno działać.

Pojawia się pytanie co jako zwykli ludzie, możemy zrobić, by zachować nadwyrężoną florę i faunę obecną jeszcze w naszym otoczeniu?

Z pewnością warto odtwarzać mikrosiedliska dla całych grup organizmów tam, gdzie to możliwe bądź tworzyć nowe, a jedno nie powinno wykluczać drugiego. Jednym z takich przykładów, którym chciałbym się tutaj podzielić, jest tworzenie niewielkich wysp ziemnych i platform pływających dla rybitw rzecznych *Sterna hirundo*. Choć wygląda to na pomoc dedykowaną tylko jednemu gatunkowi ptaka, są to tylko pozory. Dotych-

czasowa krajowa praktyka ochrony konserwatorskiej jednoznacznie ukazuje szersze w skutkach pozytywne efekty takiej ingerencji na korzyść zdecydowanie wielu gatunków. Lista awifauny w takich mikro siedliskach jest długa. Poza wspomnianą bohaterką, której poświęcam niniejszy artykuł, w jej sąsiedztwie bardzo chętnie gniazdują kaczki, szczególnie grążyce oraz mewy. Te ostatnie pojawiają się tam w momencie starzenia się stworzonego miejsca lęgowego, gdy zarasta ono roślinnością zielną, a na czym cierpi rybitwa a zyskują inne gatunki ptaków.

Rybitwa rzeczna *Sterna hirundo* dawniej nazywana „zwyczajną”, to smukły, średniej wielkości gatunek ptaka wodnego o długich, wąskich i spiczastych skrzydłach, długim i głęboko rozwidlonym ogonie oraz długim

Kolonia rybitwy rzecznej i śmieszki na betonowej ostro-dze prowadzącej do śluzy na rzece (fot. D. Wiehle)



Wygląd sztucznej platformy pływającej podczas wodowania wczesną wiosną (fot. St. Gacek)

i spiczastym dziobie. Doskonale lata i jest długodystansowym migrantem. Lata lekko i zgrabnie, czasem sprężysto, z elastycznymi uderzeniami skrzydeł zagiętymi w nadgarstkach. Podczas polowania nierzadko zawisa w powietrzu przed zanurkowaniem za rybą, ale nie szybuje i nie pływa jak mewy. Gniazduje niemal w całej Europie, z wyjątkiem Islandii i północnej Rosji. Najmniej równomiernie występuje w rejonie Morza Śródziemnomorskiego. Gniazduje na ziemi, chętnie w rejonach przy morskich (zalewy, ujścia rzek), jak i w głębi lądu, gdzie zasiedla głównie doliny większych rzek z mnogością piaszczystych łąch (odcięte nurtem rzeki wyniesienie w korycie rzeki). Z kolei w warunkach stawów rybnych bądź na zbiornikach pożwirowych chętnie gniazduje za sprawą człowieka, gdy znajduje tam stworzone sztucznie miejsca do założenia kolonii. Są nimi wyspy we wczesnych stadiach sukcesji roślinnej, z piaszczystą bądź żwirową wierzchnią warstwą gleby. Unika natomiast fragmentów z wysoką roślinnością trawiastą, ziołoroślami czy krzaczastymi zaroślami. Tam przegrywa z większymi od siebie mewami (śmieszką i białogłową), które tolerują trawiaste podłoże. W uregulowanych odcinkach rzek z brakiem wysp kolonie zakłada na różnych urządzeniach hydrotechnicznych (elementy śluz, jazów) o płaskim betonowym podłożu. W latach 2008-2012 jej krajowa populacja została oszacowana na poziomie 6-8 tys. par lęgowych. Mając jednak na uwadze znaczne fluktuacje wynikające z zajmowania krótkotrwałych naturalnych sie-

Rozmieszczenia platform pływających dla rybitw na stawie (fot. St. Gacek)

dlisk w korytach rzek utrudniających ocenę, wydaje się ona niepełna. Na przykład w okolicach Zatora (OSOP Natura 2000 Dolina Dolnej Skawy) gatunek ten zaznaczył spadek liczebności z 126-189 par w latach 1995-2002 do 39-90 par w latach 2017-2018. Obecnie jej gniazdowanie w tej części Małopolski jest możliwe tylko dzięki sztucznym platformom pływającym dedykowanym temu gatunkowi, bowiem koryta Skawy i Wisły nie posiadają odpowiednich biotopów do jej gniazdowania (dane własne autora).

Jak pomóc rybitwom rzecznym?

Efektywna pomoc powinna dotyczyć tworzenia sztucznych miejsc lęgowych dla tego gatunku tam, gdzie jest deficyt optymalnych siedlisk, a gatunek obserwujemy w okresie lęgowym (IV-VII) bądź w czasie migracji wiosennej. Sztucznymi miejscami do gniazdowania chętnie kolonizowanymi są wszelakie wyspy ziemne. Ich geneza jest różna, od pozostawienia części niewyeksplotowanego złoza w przypadku żwirowni bądź uformowania na środku z osadów dennych wyspy podczas remontu dna czy grobli w warunkach stawów rybnych. Ważne, aby miały co najmniej 20 metrów kwadratowych płaskiej powierzchni, pokryte były piaskiem (bez domieszki gleby) bądź płukanym żwirem i trwale odcięte od lądu. Warunek o czystym piasku jest niezbędny, bowiem domieszka gleby przyspiesza naturalne zarastanie powierzchni wyspy przez ziołorośl, a te skracają czas miejsca lęgowego jako kolonii w kolejnych sezonach lęgowych. W przypadku nowopowstających żwirowni kruszyw naturalnych (piasku, żwiru) prace związane z lokalizacją nowej wyspy i pozostawieniem fragmentu „urobku” planuje się na etapie przygotowywania dokumentacji o uwarunkowaniach przyrodniczych w celu otrzymania koncesji na eksploatację. Ta praktyka jest zasadniczo od lat wykonywana w całej dolinie górnej Wisły, a także w innych regionach kraju. Natomiast w przypadku gospodarstw





Wygląd ziemnej wyspy podczas pierwszego sezonu lęgowego w 2019 r. (fot. D. Wiehle)

Wygląd tej samej ziemnej wyspy, jak powyżej, w 2021 r. (fot. D. Wiehle)

rybackich bądź pojedynczych stawów te postulaty nie są właściwie rozumiane zasadniczo z dwóch powodów. Po pierwsze remonty stawów są przedsięwzięciem bardzo kosztownym, realizowanym raz na kilka dekad i tylko w sytuacji niezbędnej dla produkcji rybackiej. Po wtóre powierzchnia stałej wyspy pomniejsza tzw. powierzchnię produkcyjną ryb konsumpcyjnych dla właściciela czy zarządcy danego obiektu stawowego, od której odprowadza opłaty. Dlatego znalezienie rozwiązania w postaci pływającej jednej bądź modułów złożonych z 2-4 platform, które nie pomniejszają powierzchni produkcyjnej stawu uwzględniając interes ekonomiczny zarząd-

ców bądź właścicieli stawów jest pomysłem wartym protekcji i rozpowszechniania.

Jak wykonać platformę pływającą?

Podstawowym warunkiem, który musi spełniać każda pływająca platforma jest to, by była bezpieczna dla ptaków, użyteczna i dawała się szybko zdemontować na okres jesienno-zimowy w momencie, gdy dany staw pozostanie spuszczonej w celu odłowu hodowanych ryb. Kluczową kwestią jest zatem szczelność pływaków, na których cała konstrukcja ramy będzie zamocowana. Chodzi tutaj o podłogę z wyściółką (żwirem bądź piaskiem) i płotki z siatki zabezpiecza-



jącej nietotne pisklęta przed wpadaniem do wody oraz utonięciem. Jako pływaki sprawdzają się plastikowe beczki o pojemności 70 litrów dostępne w większości dużych sklepów budowlanych, których uszczelnione silikonem zamknięcia są wystarczająco szczelne. W tym celu 4, 6 bądź 8 beczek, w zależności od zamierzonej wielkości i ciężaru całej konstrukcji, łączy się w jeden moduł z ramą za pomocą grubej siatki bądź sznura (optymalnie powróż), nadając jej stabilny np. prostokątny kształt. Optymalne wymiary to 1,5 x 2,5 m. Podłogę platformy wykonujemy z desek bądź płyty OSB, którą przykrywa się folią ogrodniczą wydłużając w ten sposób trwałość tej powierzchni. Na brzegach platformy wzdłuż całego obwodu montujemy 12-15 centymetrowy płotek z metalowej siatki o drobnych oczkach. Zabezpiecza on bowiem pisklęta przed wpadaniem do wody czy utratą części podłoża żwirowego podczas falowania. Zalecana grubość wyściółki to 5-8 cm w zależności od granulacji. Każda z platform powinna mieć dwie kotwice po przeciwnych końcach stabilizujące docelowe jej położenie. W tym celu sprawdzają się zatopione wiadra wypełnione w połowie kamieniami bądź inne

ciężkie przedmioty obojętne dla środowiska wodnego ryb.

Budowanie, a następnie utrzymywanie platform pływających dla rybitw rzecznych jest namacalnym przykładem nowoczesnej metody realizacji ochrony konserwatorskiej w praktyce w ograniczonym zakresie. Niskobudżetowe i proste w wykonaniu potrafią zwiększać bioróżnorodność gatunkową ptaków danej lokalizacji, a efekty są widoczne w ciągu następnego roku. W niektórych przypadkach skutecznie utrzymują populacje lęgowe rybitw na danym zbiorniku, gdzie odtworzenie optymalnych miejsc lęgowych jest niemożliwe. Niemniej jednak sztucznie uformowane, zabezpieczone przed rozmywaniem gabionami wyspy ziemne na środku danego akwenu czy stawu o powierzchni kilku arów nie powinny być porównywane z pływającymi platformami. To inna skala i zakres. Stworzenie bowiem takich trwałych obiektów jak wyspy ziemne to inny potencjał środowiskowy, poczynając od wysokości środków finansowych przeznaczanych na ten cel, pozwoleń formalno-prawnych, a na zapewnieniu nadzoru przyrodniczego na każdym etapie kończąc. Jednak „nowy” ład oferuje zdecydowanie większy potencjał przyrodniczy, choć po-

Samica czernicy *Aythya fuligula* z pisklętami w trzecim sezonie lęgowym od momentu utworzenia wyspy ziemnej (fot. D. Wiehle)

wierzchnia takiej wyspy podlega wtórnym spontanicznym procesom zarastania, postępującej sukcesji roślinnej i starzenia się wytworzonego tam specyficznego zbiorowiska roślinnego. Wyspy te cechuje też nieprzewidywalne tempo i skład gatunkowy ptaków wodno-błotnych, które ją zasiedla a wiedza ornitologów na ten temat nadal jest znikoma. W dużych koloniach rybitw i mew na wyspach ziemnych liczniej gniazdują kaczki (krzyżówka, czernica, głowienka, podgorzałka i helmiatka), gęsi (gęgawa i gęsiówka egipska), a przy brzegach odnotowywane są pływające gniazda perkozów i chruścieli.

Kilka wskazówek praktycznych

Jak każda konstrukcja, narażona na niekorzystne warunki atmosferyczne, także i pływająca platforma wymaga przeglądów technicznych, wykonywania bieżących napraw czy uzupełniania żwiru lub jego wymiany po zakończeniu okresu lęgowego (X-II). Ptaki przebywające na platformach brudzą, ale też przynoszą sporo materiału organicznego,

który z czasem stworzy histosol (typu „ornithic”). To rodzaj gleby bez skały macierzystej np. powszechnie występujący w starych gniazdach bociana białego, z której zazwyczaj wyrastają chwasty i zboża. Utrzymywanie czystego żwiru na platformie lęgowej rybitw jest celem nadrzędnym. Jej negatywne zazielenienie skutkuje zajęciem tej konstrukcji w kolejnym sezonie przez śmieszkę, a rybitwy w konfrontacji z większą mewą o miejsce gniazdowe nie mają szans. W przypadku wysp ziemnych dotychczasowe doświadczenia autora w zakresie kompensacji przyrodniczej przy tworzeniu nowych wysp lęgowych dla ptaków na obiektach poeksploatacyjnych (żwirowniach) sugerują zastosowanie skuteczniejszych rozwiązań ograniczających zakres i tempo zarastania nowopowstałych powierzchni przez ziołorośla bądź inne gatunki bylin. Zaleca się inwestorom stosowanie materiałów (płótna) w typie geowłóknin, które wykładane powinny być na powierzchnię pozostawionego urobku docelowej wyspy ziemnej, a następnie pokrycie jej powierzchni warstwą płukanego żwiru.

Pływające platformy zasiedlone przez rybitwy rzeczne w warunkach stawów rybnych. Widoczne „daszki” oferują cień pisklętom podczas słonecznej aury (fot. D. Wiehle)



dr inż. Damian G. Wiehle
Leśnik. Ekspert w zakresie
ornitologii. Biegły sądowy.
Przeciwnik polowań na
ptaki.

Deformacje i zniekształcenia poroży u jeleniowatych

Marek Wajdzik



W oparciu o obowiązujące w Polsce zasady selekcji osobniczej zwierząt łownych należy przyjąć, że u jeleniowatych przeciętnie na 100 odstrzelonych samców przypada 10 – 20 osobników łownych (dojrzałych). Stąd też wśród prezentowanych trofeów przeważają parostki, wieńce i łopaty uznane za selekcyjne. Wśród nich niewątpliwie podziw budzą wszelkiego rodzaju poroża zdeformowane i anormalne, odbiegające od przyjętych dla poszczególnych gatunków wzorców.

Przyczyn zniekształceń poroży należy doszukiwać się w stanach chorobowych konkretnego osobnika, w czynnikach genetycznych, hormonalnych czy też w niekorzystnych zmianach w środowisku bytowania zwierząt. Najczęściej notowane

anomalie są wynikiem urazu mechanicznego mózgu lub poroża w trakcie jego wzrostu lub już wytartego. W większości przypadków deformacje te są niepożądane z hodowlanego punktu widzenia i osobniki o wadliwej budowie poroża powinny być eliminowane z łowiska. Nie dotyczy to jedynie uszkodzeń mechanicznych poroży już wytartych.

Myśliwi w Polsce w każdym sezonie łowieckim pozyskują trofea łowieckie, które formą i kształtem wyraźnie odbiegają od klasycznych form rozwoju przewidzianych dla poszczególnych gatunków zwierzyny płowej. Najwięcej anomalii notujemy u saren, rzadziej u jeleni i danieli, a sporadycznie u łosi (aktualnie na ich odstrzał obowiązuje moratorium). Poroża różniące się od

prawidłowych wzorców nazywa się popularnie myłkusami i ze względu na swe niecodzienne kształty zajmują one szczególne miejsce w kolekcjach myśliwskich.

Czynniki, które w konsekwencji prowadzą do zniekształceń i deformacji poroży u wszystkich gatunków z rodziny jeleniowatych można podzielić na dwie grupy: przyczyny pośrednie i bezpośrednie.

Przyczyny pośrednie

Zaburzenia hormonalne

Cykl wzrostu i rozwoju poroża podlega regulacji hormonalnej, której czynnikiem determinującym jest pora roku, a konkretnie długość dnia. Hormonem stymulującym jego

wzrost jest

somatotropina, której aktywność

wzrasta w przypadku

ku niskiego poziomu

testosteronu we krwi, odpowiadającego z kolei za zakoń-

czenie procesu wzrostu poroża, jego kostnienie i obumieranie scypułu. Zaburzenia w wydzielaniu

jednego z nich doprowadzają nie tylko do nieprawidłowego wzrostu

poroża, ale mogą przyczynić się do powstania tworu anormalnego zwanego peruką. Ten specyficzny oręż

powstaje, gdy w trakcie nakładania poroża nastąpi przerwanie funkcji wydzielniczej obydwu jąder (np. poprzez ich okaleczenie lub usunięcie)

co skutkuje niekontrolowanym przy-

rostem masy kostnej. Należy podkreślić,

że jednostronna kastracja nie odbija się na

wzroście poroża i wbrew obiegowym poglądom, nie ma żadnego związku z jego

asymetrią. Peruka, w zależności od długości okresu jej wzrostu, przy-

biera różne kształty i wielkości. U jeleni i danieli

przyjmuje zazwyczaj formę maczugowatą, a u saren

bezkształtnego tworu (bez wyraźnych tyk i odnóg), w skrajnych



przypadkach zalewającego przód głowy i przesłaniającego gałki oczne, co w konsekwencji prowadzi do śmierci osobnika.

Wszystkie formy perukarzy są bardzo cenione przez myśliwych, lecz wymagają specjalistycznego preparowania choćby ze względu na nietrwałość scypułu pokrywającego poroże. Z hodowlanego punktu widzenia takie osobniki powinny być usuwane z populacji, gdyż są nieplodne.

Zaburzenia przemiany materii

Źródłami zaburzeń przemiany materii są: choroby, pasożyty wewnętrzne (endopasożyty) i zewnętrzne (ektopasożyty), toksyny, niedostatek żeru, a nawet starzenie się danego osobnika.

Szkodliwy wpływ pasożytów na organizmy zwierzęce polega nie tylko na „okradaniu” żywiciela z białek, węglowodanów czy tłuszczu, lecz także z soli mineralnych i witamin. Obecność pasożytów, zwłaszcza wewnętrznych w organizmie zwierząt, powoduje złe gospodarowanie wapniem i fosforem, a brak soli



mineralnych dodatkowo może powodować utratę środka ciężkości tyk i specyficzne ich wyginanie się ku dołowi pod wpływem własnego ciężaru. Powstają wówczas tzw. „**baranie (bawole) rogi**”. Zdarza się czasem, że w życiu tych zwierząt następuje okres „wzmocnienia organizmu” i wzrastający odcinek tyki wygina się ku górze przyjmując właściwą pozycję, po czym z powodu braku soli mineralnych tyka znowu opada w dół. Cykl ten może się powtarzać kilkakrotnie w ciągu okresu wzrostu i w ostateczności poroże przyjmuje



formę **korkociągu**. Te wady poroża (baranie rogi, korkociągi) nie są dziedziczne i mogą ustąpić już w następnym sezonie, o ile zwierzę zregeneruje swe siły i wyzdrowieje.

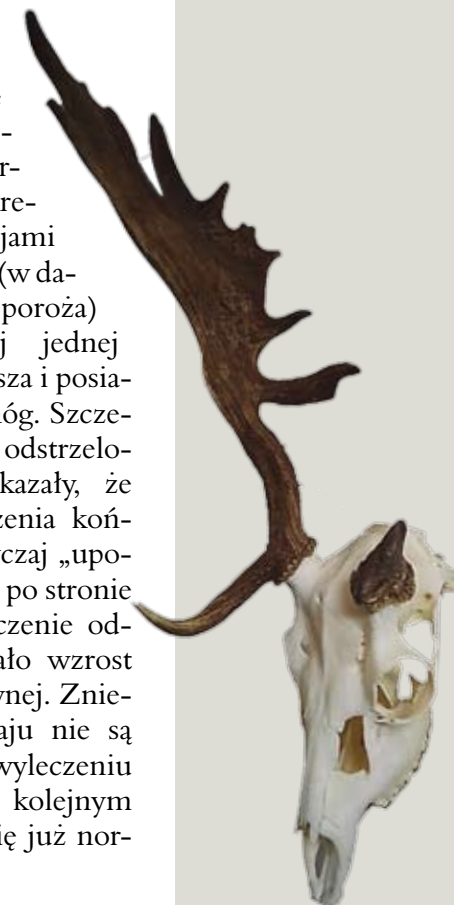
Zniekształcenia poroży, spowodowane zaburzeniami przemiany materii, najczęściej notowane są u kozłów, co wynika najprawdopodobniej z faktu nasadzania parostków w okresie zimy, kiedy to z reguły występuje niedostatek żeru zarówno pod względem ilościowym jak i jakościowym.

Uszkodzenie kończyn

Uszkodzenie kości kończyny (cewki lub badyła) spowodowane najczęściej ranami postrzałowymi, wnykarstwem, walkami w okresie godowym oraz kolizjami drogowymi powoduje (w danym roku wzrostu poroża) asymetryczny rozwój jednej z tyk, która to jest lżejsza i posiada mniejszą liczbę odnóg. Szczegółowe oględziny tusz odstrzelonych osobników wykazały, że w przypadku uszkodzenia kończyny przedniej zazwyczaj „upóźnieniu” ulegała tyka po stronie okaleczenia, zaś skaleczenie odnóży tylnego hamowało wzrost tyki po stronie przeciwnej. Zniekształcenia tego rodzaju nie są dziedziczne, a po wyleczeniu kontuzji kończyny w kolejnym roku poroże rozwija się już normalnie.

Stres - występowanie tzw. poroża podwójnego

Cykl poroża u jeleniowatych może być również zakłócony w wyniku czynników stresogennych panujących w populacji (zbyt duże zagęszczenie zwierząt, niewłaściwa struktura płciowa - znaczna przewaga samców) lub w środowisku bytowania zwierząt (wzmógłony ruch turystyczny, presja drapieżników itp.). Badania wykazały, że stres dezorganizuje gospodarkę hormonalną przez co opóźnieniu ulega strącanie starych tyk, a tymczasem nowe poroże zaczyna się już tworzyć. Wyrasta ono spod niezerzuconych tyk i obrasta je, na skutek czego stare tyki nie odpadają lecz przejmują nienaturalny kierunek.



Przyczyny bezpośrednie

Uszkodzenia mechaniczne: mózdzienia, kości czołowej, poroża rosnącego (w scypule) oraz wytartego

Uszkodzenia mózdzienia (tzw. traumatyzacja) oraz kości czołowej powstają zazwyczaj w wyniku zdarzeń drogowych, postrzałów, zaciśniętych pętli drutu, zakleszczeń poroża np. między pniami lub gałęziami, a także są efektem toczonych walk między samcami. Defekty te mają charakter zmian trwałych, powtarzają się w każdym następnym cyklu nakładania poroża i utrzymują się do końca życia osobnika.

Najczęściej uszkodzenia te mogą prowadzić do tzw. **wielotykowości prawdziwej** (min. 3 tyki wyrastające z osobnych mózdzieni) lub znacznie rzadziej do **jednotykowości**. Bardzo często dodatkowo, na kości czołowej w miejscu rany kostnej powstaje w trakcie jej gojenia nowy ośrodek wzrostu poroża. Wyrasta dodatkowy mózdzień, a na nim dodatkowa niewielka tyka zazwyczaj w formie guzika.

W wyjątkowych przypadkach może dochodzić do częściowego wyłamania mózdzienia, wskutek czego odłamana jego część wraz z parostkiem zwisa swobodnie w miejscu złamania. Przytrzymywana jest ona jedynie przez skórę obrastającą mózdzień, która zwykle nie zostaje przerwana. Ponieważ odłamany mózdzień wraz z parostkiem zwisa w dół, ale obydwie części mózdzienia dalej stykają się w tej pozycji, może dojść w konsekwencji do ich zrośnięcia. Wtedy nowy parostek zwykle przyjmuje położenie ukośne w dół, ponad oczodołem. Taki parostek jest normalnie zrzucany i odbudowywany, będzie jednak zawsze krótszy i na ogół zdeformowany.



W okresie wzrostu pokryte scypulem poroże jest szczególnie wrażliwe na wszelkiego rodzaju urazy, jak uderzenia, mocne otarcia itp. Następstwem takich urazów są deformacje tyki, przybierające różny wygląd w zależności od stopnia wykształcenia poroża w momencie powstania urazu i miejsca, w którym ten uraz powstał. Im wcześniej doszło do urazu, tym deformacja będzie większa. Uszkodzenie róży lub najbliższej okolicy tyki prowadzi do powstania **wielotykowości rzekomej (nieprawdziwej)**. W późniejszym okresie wzrostu częściowo już skostniałego poroża złamanie tyki lub odnogi kończy się albo jej utratą albo krzywym zrośnięciem i ewentualnym wykształceniem dalszych jeszcze odnóg, wyrastających już prawidłowo w kierunku pionowej osi wzrostu. Po zrzuceniu takiego poroża wzrastające w przyszłym roku tyki będą miały już normalny kształt.

Z kolei stłuczenia, zmiżdżenia czy uderzenia wykształconych tyk będących jeszcze w scypule mogą prowadzić do powstawania krwawiaków, które uwypuklając scypuł tworzą pomiędzy nim, a tyką nieregularne pęcherzowate twory. W przypadku, gdy ropa nie może wypłynąć z pęcherza, zostaje on otoczony substancją kostną, która z czasem ulega stwardnieniu i pozostaje na tyce po wytarciu scypułu. Pęcherze wypełnione krwią mogą powstawać również wewnątrz rosnących tyk. Nierzadko się zdarza, że w wyniku działalności bakterii przyranych, które oprócz ropy „produkują” również gazy (np. siarkowodór), z powodu wzrostu ciśnienia powstają puste pęcherze, które z czasem mogą pękać i otwierać się na zewnątrz.





Zapalenie scypułu (mumifikacja poroża)

Dokładna etiologia tej choroby jest dotąd nieznana. Przypuszcza się, że chorobę wywołuje wirus, który powoduje tzw. **mumifikację**.

Przemarznienia

W Polsce zjawisko przemarznienia poroża (będącego w szypule) odnosi się zasadniczo jedynie do saren rogaczy, które nakładają parostki w okresie zimowym. W razie utrzymywania się przez dłuższy czas niskich temperatur dochodzi do uszkodzenia i obumarcia szczytowej partii scypułu i tkanki twórczej, co szczególnie w początkowym stadium rozwoju parostków może powodować odpadnięcie obumarłych części na obu tykach. Przy zaawansowanym rozwoju tyk obmarzniete części z reguły nie odpadają, lecz po wytarciu odznaczają się porowatą strukturą, są zmurszałe i posiadają ciemniejszą barwę.

Ukąszenia owadów

Bywają również takie przypadki, że w razie uszkodzenia scypułu otwarta rana jest zasiedlana przez owady (muchówki), a także przez bakterie, w wyniku czego powstaje galaretowata narośl kształtu kulistego. Wnętrze takiego utworu jest poprzecinane licznymi kanałami wytworzonymi przez larwy, bądź produktami rozkładu tkanek spowodowanych obecnością bakterii. Tego typu zniekształcenie ma charakter przejściowy, a powstające w kolejnym cyklu poroże będzie rozwijać się normalnie.

Przyczyn myłkusowości jest wiele i zapewne upłynie jeszcze sporo wody w Wiśle, odstrzelimy jeszcze niejednego myłkusa zanim znajdziemy wyczerpującą odpowiedź na pytanie: Czym to jest spowodowane?



dr hab. inż. Marek Wajdzik, prof. URK
leśnik, pracownik naukowy Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, wykładowca Gospodarki łowieckiej. Działacz łowiecki, członek NRŁ.



Wyżet a płochacz (cz.I)

Ewa Dobrzyńska-Lankosz



Psy myśliwskie to temat – rzeka. Literatura na ich temat jest dosyć bogata, aczkolwiek publikacje przysłowiowych klasyków są trudno dostępne. Autorzy książek czy artykułów w czasopismach z oczywistych względów głównie koncentrują się na użytkowości poszczególnych ras oraz metodach ich szkolenia.

Obecnie na świecie notuje się ok. 200 ras psów myśliwskich. Cechy tych ras, szczególnie te użytkowe, kształtowały się przez wiele tysięcy lat. W zależności od potrzeb łowieckich, dzięki selekcyjnej hodowli, stopniowo następowała specjalizacja, co sprawiło, że w zależności od zakresu pracy, powstawały rasy pracujące jako aportery, dzikarze, gończe, norowce, płochacze, po-

sokowce, tropowce i wyżły (legawce).

W niniejszym artykule skupimy się na dwóch grupach – wyżłach i płochaczach. Jedne i drugie zasadniczo wykorzystywane są do polowań na zwierzynę drobną, choć można je spotkać także na polowaniach na zwierzynę grubą, gdzie między innymi służą do odnajdywania strzelonej sztuki (dochodzenia postrzałka).

W grupie wyżłów Międzynarodowa Federacja Kynologiczna (FCI) wymienia 37 ras (VII grupa). W zależności od miejsca pochodzenia wyżły dzieli się na brytyjskie i kontynentalne. Najpopularniejsze w Polsce „kontynenty” to wyżły niemieckie krótkowłose i szorstkowłose, a także czeskie fokuski, wyżły weimarskie oraz ostatnio u nas

coraz bardziej powszechne wyżły węgierskie; rzadziej spotykane to małe münsterländery, wyżły włoskie i in. Z grupy wyżłów brytyjskich w Polsce spotkać można przede wszystkim pointery oraz setery (głównie szkockie Gordony). Z pełnym wykazem ras można się zapoznać na stronie domowej Związku Kynologicznego w Polsce (<https://www.zkwp.pl/wzorze.php>).

Płochacze wraz z aporterami i psami dowodnymi stanowią grupę VIII FCI. W naszych łowiskach spotykamy je rzadziej niż wyżły. Spośród 22 ras zarejestrowanych przez FCI w tej grupie najpopularniejsze z pewnością są płochacze niemieckie wachtelhundy. Część myśliwych za swoich towarzyszy łowów ma też springer spaniele angielskie. Coraz rzadziej w łowiskach widuje się pracujące cocker spaniele angielskie.

Jak wspomniano wcześniej zarówno wyżły, jak i płochacze to rasy wykorzystywane głównie podczas polowań na zwierzynę drobną. Niektóre rasy wyżłów to typowe psy tzw. suchego pola. Praca w wodzie nie jest ich mocną stroną, choć wytrzymały i charyzmatyczny przewodnik jest w stanie wyuczyć psa pracy także i w wodzie. Lepiej jednak dostosować rasę do łowiska, w jakim przyjdzie psu pracować. Dlatego jeśli mamy zamiar polować i na bażanty i na kaczki czy gęsi lepiej wybrać rasę bardziej wszechstronną.

Nie ma tego dylematu w przypadku płochaczy. One wszystkie uwielbiają pracę w wodzie. Doskonale też sprawdzają się w suchym polu.

Należy jednak pamiętać, że pies myśliwski, w zależności od zakresu przyszłej pracy musi posiadać określone umiejętności. Same geny tego nie załatwią. By w przyszłości mieć z psa pociechę, trzeba go, poza odszczenięciem ćwiczoną apelem, poddać szkoleniu specjalistycznemu. Pies ma wiedzieć, co i jak ma robić podczas polowania, a więc stylowo, poprawnie okładać pole, dokładnie przeszukiwać teren, zwiertzoną zwierzynę wypłoszyć (wypchać) na odległość strzału (płochacze) lub długo, spokojnie i zdecydowanie wystawić, dopóki nie dojdzie do niego myśliwy (wyżły), re-

spektować zwierzynę i wreszcie aportować. Jakże często spotykamy się z psami, które owszem podejmą strzelonego bażanta, ale traktują go jak swoje trofeum, podczas gdy powinny natychmiast przynieść i oddać go swojemu przewodnikowi. Przykro patrzeć, gdy myśliwy biegnie za swoim psem, woła o oddanie ptaka, a piesek ucieka i traktuje całą akcję, jak wyśmienitą zabawę (w kotka i myszkę). Pamiętajmy, że aport to pewna sekwencja działań – odnalezienie, delikatne uchwycenie w kufę, tak by nie uszkodzić tuszki, przyniesienie i oddanie przewodni-





kowi. W przypadku aportu z wody uczymy też, by pies się nie otrząpywał z wody przed oddaniem ptaka myśliwemu. Nie raz bowiem zdarza się, że podczas otrząpywania lekko zbarczona kaczucha wypadnie psu z pyska i, zanim ktokolwiek się zorientuje, czmychnie. I szukaj wiatru w polu.

Zatem jedną z podstawowych umiejętności, których wymaga się od wielu ras psów myśliwskich, jest aport. Warto więc już z młodziutkim szczeniakiem ćwiczyć przynoszenie aportu, a ponieważ takie maluchy chętnie biorą do kufy wszystko, co napotkają na swej drodze, a jeszcze chętniej, gdy przedmioty są w ruchu, więc jest okazja, by rozpocząć, początkowo w formie za-

bawy, szkolenie w tym kierunku. Ćwiczenia aportu z reguły zaczynamy od sztucznych aportów, a tu do dyspozycji mamy całą gamę różnej wielkości i o różnym ciężarze drewnianych koziółków, dummików itp. Warto też przyszłego pomocnika myśliwego zapoznać z zapachem bażanta czy kaczki, zachęcać go do noszenia skrzydełek ptaków łownych; w ten sposób maluchy oswoją się też z piórem.

Wyuczenie posłuszeństwa, jak i aportu dotyczy zarówno wyżłów jak i płochaczy. Psy muszą reagować na komendy i muszą aportować.

Gdzie zatem różnice?

Otóż w stylu pracy. Zadaniem płochacza

jest wytropienie, zaznaczenie i wypłoszenie zwierzyny. Dlatego tak ważne jest nauczanie psa trzymania się blisko myśliwego, na odległość strzału, czyli na około 30 metrów. Jeśli pies wypłoszy zwierzynę z większej odległości, myśliwy nie będzie miał szansy na trafny strzał.

Wyżły pracują na znacznie większych odległościach. Przekładanie pola odbywa się przed przewodnikiem, na szerokość około 100 metrów w lewo i w prawo od przewodnika. Gdy zwietrzą zwierzynę, wykonują tzw. stójkę i czekają, aż myśliwy dotrze do wystawiającego psa. Dopiero wówczas myśliwy lub na komendę – pies wypycha ptaka, co daje szansę na oddanie skutecznego strzału z niedużej odległości. Czasem, gdy ptak wycieka, wyżeł płynnie podąża za nim (ściąga), a cała akcja przebiega stosunkowo wolno, co pozwala myśliwemu dotrzeć do psa w odpowiednim czasie.

Stójka jest wrodzoną i wyłączną cechą psów legawych. Żadna inna rasa tej cechy nie posiada, o czym nie wszyscy wiedzą. Sama nieraz spotkałam się ze zdziwieniem myśliwego, że mój płochacz nie zrobił stójki. Ano, nie zrobił, bo nie jest wyżełem.

I wreszcie kolejna cecha odróżniająca te dwie grupy psów, to praca górnym (wyżeł) lub dolnym wiatrem (płochacz) podczas okładania pola. Dolnym wiatrem wyżeł pracuje jedynie na tropach postrzałka.

W Polsce, podobnie zresztą jak w wielu innych krajach, co roku organizowane są różnego rodzaju imprezy kynologiczne (próby i konkursy pracy, field trialsy). Warto wybrać się na tego typu imprezę i przyrzyć jak pracują płochacze, jak wyżły. Może to zachęci myśliwych do startu ze swoimi podopiecznymi w próbach czy konkursach. Udział w takich imprezach mobilizuje do pracy z psem, dzięki czemu młody pies nabywa umiejętności, które w dużym stopniu przydają się w praktyce łowieckiej.

Kalendarz imprez oraz wszystkie regulaminy ze szczegółowo opisanymi konkurencjami dostępne są na stronie domowej PZŁ.

Ponadto organizowane są różne szkolenia grupowe, często wakacyjne. Można też zafundować sobie szkolenie indywidualne.

Można wreszcie oddać psa na przeszkolenie do sprawdzonego specjalisty. Pies z pewnością zostanie wyszkolony, ale właściciel nie, a w wielu przypadkach właśnie to jest dylemat. Osobiście jestem zwolenniczką wariantu szkolenia psa wraz z przewodnikiem, bo często problem leży nie po stronie psa, a właśnie jego przewodnika.

Poza tym pracując ze swoim psem nawiązujemy z nim niezwykłą więź, która sprawia, że staje się on naszym najwierniejszym przyjacielem. Taka współpraca daje ogromną satysfakcję przewodnikowi, a psu





wiele radości. Pies ułożony, to dla myśliwego największy skarb i najcenniejszy pomocnik w łowisku.

Natomiast wybór pomiędzy wyżłem a płochaczem, to rzecz zupełnie indywidualna. Ważne, by zdawać sobie sprawę z różnic w stylu pracy danej rasy i wybrać taką, która będzie nas satysfakcjonować.



Ewa Dobrzyńska-Lankosz
– hodowca springer spanieli angielskich, sekretarz Komisji Kynologicznej przy ZO PZŁ w Krakowie, autorka kilkunastu artykułów z zakresu kynologii łowieckiej

zdjęcia: Ewa Dobrzyńska-Lankosz, Anna Kozłowska, Kinga Śmiatek, Magdalena Wojtaszek



Falery krakowskich kół łowieckich w moich zbiorach - Cz. V (nazwy leśne)

Bogdan Kowalcze

W piątej części cyklu „Pamiętki kół łowieckich naszego okręgu”, przedstawiam oznaki i medale tych kół, których nazwy wywodzą się od określeń wziętych z nazewnictwa przyrodniczego czy też związanych z lasem.

Do piątej grupy zaliczyłem koła: „Bór” Kraków, „Dąb” Koniusza, „Dąbrowa” Kraków, „Knieja” Kraków, „Las” Kłaj, „Leśnik” Alwernia, „Leśnik” Kraków, „Lisi Jar” Kraków, „Modrzew” Kraków, „Ostoja” Kraków i „Sosnówka” Kraków.

Koło Łowieckie „Bór” Kraków - wzięło swoją nazwę od boru, czyli dużego, gęstego lasu iglastego, a z kolei „Las” Kłaj - od określenia przestrzeni porośniętej drzewami, krzewami i innymi roślinami, jako kompleksu, w którym roślinność, swoista dla danego regionu biogeograficznego wyróżnia się dużą ilością drzew rosnących w zwarcu, w którym zwierzęta, rośliny, grzyby, a także woda i inne składniki przyrody nieożywionej są wzajemnie od siebie uzależnione.

Rozróżniamy las liściasty (zwany też z dawną czarnym) w tym brzozy, buki czy też dębowy, las mieszany (iglasto – liściasty) oraz las zielony (iglasty) zwany też szpilkowym. Specyficzną cechą tego ostatniego jest to, że jest stale zielony (z wyjątkiem modrzewiowego) w przeciwieństwie do lasu liściastego, który to po zrzućeniu liści staje się czarnym. Określenie „czarny” należy łączyć również z faktem, że w okresie zimy drzewostany liściaste są rzadziej odwiedzane przez zwierzęta ze względu na panujące tam ubóstwo żeru oraz brak ostoi.

„Dąbrowa” Kraków – kojarzy nam się z gajem dębowym, a z kolei „Dąb” w Koniuszu wprost z dębem - gatunkiem z rodziny bukowatych. W naszym kraju najczęściej spotykanymi gatunkami są: dąb



bezszypułkowy i dąb szypułkowy oraz dąb czerwony (gatunek obcy).

Koło łowieckie „Knieja” Kraków – nazwa koła określa wielki, gęsty las, w którym przebywa i znajduje swe ostoje zwierzyzna.

„Modrzew” Kraków – nazwę myśliwi przyjęli od drzewa z rodziny sosnowatych. W Polsce występuje modrzew europejski oraz jego odmiana – modrzew polski. Poza gatunkami rodzinnymi, głównie w ogrodach spotkać możemy jeszcze modrzewie introdukowane: japoński i szkocki. Ten drugi jest mieszańcem modrzewi europejskiego i japońskiego. Modrzew różni się tym od innych gatunków iglastych, że jego liście w postaci zielonych igieł utrzymują się tylko od wczesnej wiosny do jesieni, a później żółkną i opadają.

Koła łowieckie „Leśnik” Alwernia i „Leśnik” Kraków należy utożsamiać z zawodem osoby znającej zatrudnienie w gospodarstwie leśnym. Do tej grupy zaliczało się kiedyś stróża leśnego (straż leśną), gajowego, borowego, podleśnego, leśniczego i nadleśniczego.

Kolejne koło to „Ostoja” Kraków, które to swą nazwę przyjęło od terenu w którym zwierzyzna najchętniej przebywa. Gdzie czuje się bezpiecznie i znajduje schronienie.

Koło łowieckie „Lisi Jar” Kraków przyjęło nazwę od lisiego przesmyku ukrytego w głębokim parowie, wąwozie zarosłym krzakami, czyli jaru.

Jako ciekawostkę przypomnę, że nazwa „Lisi Jar” stanowi atrakcję turystyczną pomiędzy Rozewiem, a Jastrzębią Górą na obszarze Nadmorskiego Parku Krajobrazowego. Jest to jar o długości 350 m, ciągnący się wąskim pasmem do Morza Bałtyckiego. Maksymalne zagłębienie jaru osiąga 50 metrów, a jego zbocza porośnięte są ponad stuletnią buczyną. Podróżując po kraju możemy natknąć się na zajazd o nazwie „Lisi Jar”.

I na koniec zostawiłem sobie koło łowieckie noszące nazwę „Sosnówka” Kraków – przypuszczam, że nazwę tę przyjęło od osady leśnej Sosnówka znajdującej się na terenie dzierżawionego obwodu łowieckiego, a może od nazwy najmniejszej sikorki występującej u nas czyli sosnówki (*Periparus ater*) objętej całkowitą ochroną gatunkową.

Abstrahując od powyższego mnie osobiście nazwa ta kojarzy się ze wspaniałą nalewką myśliwską (kordialem) „Sosnówką”, do produkcji której używa się młodych, miękkich szyszek sosny... nalewka jest wyśmienita.

Darz Bór



Bogdan Kowalcze
Kolekcjoner falerystyki
łowieckiej. Prezes Galicyjskiego
Oddziału Klubu Kolekcjonera
i Kultury Łowieckiej PZŁ.
Członek komisji kultury NRŁ.



GZY – wiosenny problem sarny

Jerzy Kowal



Dorosłe osobniki gzów. Od lewej:
Strzykacz sarni - *Cephenemyia stimulator* i giez sarni - *Hypoderma diana*

Gzy to ciekawa grupa muchówek, pasżytów wewnętrznych zwierząt. W Polsce u jeleniowatych występują głównie dwa gatunki: strzykacz sarni (*Cephenemyia stimulator*) i giez sarni (*Hypoderma diana*). Pierwszy z nich to typowy pasożyt sarny, natomiast drugi był stwierdzany również u jelenia, daniela, łosia i muflona. Większość czasu w roku gzy występują jako pasożytnicze larwy, natomiast dorosłe postaci pojawiają się na krótko tylko w ciepłych okresach roku (fot 1.).

Larwy strzykacza sarniego można znaleźć w jamach głowy. Najczęściej można je spotkać w trakcie przygotowania do preparacji lub preparacji głów kozłów. Początkowo, czyli w okresie od września do marca, larwy I stadium wstrzyknięte przez samicę strzykacza do nozdrzy sarny (długości około 2 mm), nie podejmują wzrostu i dalszego rozwoju. Następnie w ciągu około 40 dni intensywnego wzrostu rozwijają się do II i III stadium, lokalizując się w zachyłkach ścian gardła sarny (fot. 2). W sierpniu larwy III stadium opuszczają żywiciela przez

otwory nosowe i spadają na glebę lub ściółkę, gdzie przechodzą w postać poczwarki. Po około 25 dniach z poczwarek wychodzą uskrzydłone samce i samice. Czas życia dorosłych postaci jest bardzo krótki (od 6 do 16 dni). Samce zamierają po kopulacji, natomiast samice krótko po wstrzyknięciu larw w nozdrza żywiciela. Dorosłe owady w czasie lotów nie pobierają pokarmu (mają uwsteczniowany aparat gębowy) i zużywają zapasy energii zgromadzone w tzw. ciałku tłuszczowym. Długość rozwoju gzów w żywicielu i poza nim jest regulowana przez warunki środowiska, stąd też dorosłe postaci odbywają loty od lipca do września.

Cykl rozwojowy gza sarniego różni się od poprzednio omawianego. Rozpoczyna się on złożeniem przez samicę gza jaj na sierści sarny. Składanie jej odbywa się w okresie od maja do sierpnia. Niewiele wiemy o rozwoju I i II stadium larwy, jednak prawdopodobnie przebiega on podobnie jak u innych gzów podskórnych z rodzaju *Hypoderma*. Larwy wyklute z jaj prawdopodobnie przebijają się przez skórę



Larwy II stadium gza sarniego pod skórą sarny po bieleniu. Widoczne są również otwory w skórze przez które oddychają larwy

i odbywają wędrówkę tkankami do rdzenia kręgowego. Następnie jako larwa II i III stadium usadwiają się pod skórą grzbietu (fot. 3). W tym czasie w skórze pojawiają się otwory przez które larwa oddycha. Larwy opuszczają żywiciela wypadając przez otwory w skórze w marcu i kwietniu. Przepoczwarczają się następnie w glebie. Larwy II i III stadium mogą być obserwowane pod skórą w trakcie bielenia tuszy, jednak ze względu na terminy odstrzałów częściej widoczne są uszkodzenia skóry.

Wpływ zarażenia omawianymi gatunkami gzów na zdrowotność żywiciela może być znaczny. W inwazjach strzykacza sarniego objawy pojawiają się tuż po migracji larw do gardzieli. Najczęściej jest to początek sezonu polowań na kozły. Nasilenie objawów zależy od liczby pasożytów jakim udało się rozwinąć do ostatniego stadium larwalnego. Na masowe inwazje najbardziej narażone są młode jednoroczne sarny, które nie wykształciły jeszcze odruchu unikania samic gza próbujących wstrzyknąć im larwy do nozdrzy. Choroba występuje również częściej u kozłów niż kóz. Mocno zarażone

sarny mają problemy z oddychaniem i pobieraniem pokarmu. W skrajnych przypadkach duża liczba larw może doprowadzić do zacczopowania gardła i śmierci zwierzęcia. Obniżony apetyt i trudności w jedzeniu mogą się również przełożyć na znaczne wychudzenie i wyniszczenie organizmu. W przypadku gza sarniego u zarażonych saren obserwuje się jedynie wychudzenie i ogólne wyniszczenie. Tusze od takich wychudzonych osobników nie powinny być przeznaczone do konsumpcji czy przetworzenia w celach kulinarnych. Natomiast jeżeli podczas bielenia, pod skórą, zostaną stwierdzone larwy gza sarniego, a zwierzę nie było wychudzone, mięso nadaje się do spożycia po ewentualnym wycięciu zmienionych fragmentów tkanek. Takie zmienione fragmenty można czasem znaleźć w sąsiedztwie miejsc, gdzie usadowiły się larwy.

Należy się spodziewać, że w przyszłości poziom zarażenia saren gzami będzie systematycznie wzrastać. Czynniki mającymi wpływ na ten proces mogą być: wysoka liczebność populacji, która przekłada się na



Larwy II i III stadium strzykacza sarniego

zagęszczenie zwierząt oraz zmiany klimatyczne (ocieplenie). Oba te czynniki mogą w znacznym stopniu sprzyjać rozwojowi i rozprzestrzenianiu się gzów.

Metody zapobiegania i zwalczania inwazji gzów u zwierząt łownych nie zostały do tej pory opracowane i ich stworzenie może okazać się bardzo trudne. W krajach skandynawskich stworzono specjalne pułapki wabiące samice gzów za pomocą systematycznie uwalnianego dwutlenku węgla. Schwyte w ten sposób owady giną w krótkim czasie i nie są w stanie zarażać kolejnych żywicieli. Jak do tej pory pułapki takie były używane w badaniach naukowych, ale ich wytworzenie i wprowadzenie do ogólnego użytku mogłoby dać dobre efekty na terenach, gdzie problem inwazji gzów jest szczególnie dotkliwy. Dodatkowo pułapki takie chwytają inne gatunki uciążliwych muchówek. Innym sposobem ograniczania inwazji mogłoby być zmniejszenie zagęszczenia sarny poprzez odstrzał, ze szczególnym uwzględnieniem eliminacji osobników w słabej kondycji, które najczęściej stanowią źródło zarażenia kolejnych zwierząt. Znaczne wychudzenie i wyniszczenie związane z obecnością gzów jest obserwowane głównie w lutym i marcu, tak więc działania te musiałyby obejmować odstrzał poza okresem polowań. Wyeliminowanie

osobników intensywnie zarażonych przed okresem lotów dorosłych gzów może skutecznie ograniczać ich rozprzestrzenienie. Od lat znane są leki zwalczające inwazje gzów u zwierząt. Są to substancje z grupy awermektyn, w tym iwermektyna. Podczas stosowania tego leku u zwierząt hodowlanych stwierdzono, że nawet małe dawki powodują śmierć larw bytujących w tkankach i jamach ciała żywiciela. Substancje te mają jednak ograniczoną możliwość użycia w łowisku.

Podsumowując należy stwierdzić, że problem inwazji gzów u saren może się nasilać i mieć znaczny wpływ na ich kondycję i jakość osobniczą. Należałoby opracować racjonalne sposoby zapobiegania i zwalczania tych pasożytów odpowiednie do zastosowania u zwierząt wolnożyjących jakim są sarny.



Jerzy Kowal, dr inż., z kształcenia zootechnik, pracownik naukowo-dydaktyczny w Katedrze Zoologii i Dobrostanu Zwierząt Wydziału Hodowli i Biologii Zwierząt Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, kandydat do PZŁ.



Cietrzewie w delcie Selengi

Andrzej Patoła



Pobudka była na długo przed świtem. Wyruszamy, by zlokalizować cietrzewie i posłuchać ich toku. Jako że spałem niewiele, koledzy pytają, czy się z nimi wybiorę. Prawda, że nie byłem wyspany, lecz Siergiej, z którym miałem tyle przygód nad Bajkałem zaoferował się, że pojedziemy razem. Okazało się także, że jesteśmy rówieśnikami, urodzonymi nie tylko w tym samym roku, ale i miesiącu. On jest starszy ode mnie zaledwie o trzy dni.

Wyjechaliśmy samochodem jeszcze nocą. Polna droga prowadziła przez step i las. Dojechaliśmy do miejsca, gdzie w reflektorach samochodu z lewej strony pojawił się wysoki las, a z prawej niskie sosenki. Tutaj zatrzymaliśmy się, by posłuchać, gdzie tokują cietrzewie. Odeszliśmy trochę dalej od samochodu i po chwili od wschodu niebo zaczęło się rozjaśniać.

W pewnej chwili nad nami przeleciał cietrzew, a gdzieś daleko usłyszałem nieśmiałe czuczyszkanie, później następne i za chwilę głośne perliste bulgotanie. Zaraz granie podjął następny czarny rycerz i po chwili okolica z kilku stron zanosila się muzyką trubadurów. Staliśmy w bezruchu, a ja z zapartym tchem, pierwszy raz w życiu, słuchałem dziesiątek tokujących cietrzewi. Cała okolica zamieniła się w wielkie tokowisko, lecz można było wyodrębnić miejsca, skąd słychać było najgłośniej. W tym właśnie kierunku ostrożnie zaczęliśmy podchodzić. Po chwili zza horyzontu wyszło słońce. Na moment wszystkie cietrzewie zamilkły, aby po chwili ich muzyka znów zabrzmiała. Podchodząc próbowaliśmy zlokalizować tokowisko i ewentualnie któregoś z tokujących cietrzewi upolować. Niestety nie udało się. Ptaki były bardzo ostrożne, a gdy podeszli-

śmy za blisko z łopotem poderwały się i wyładowały na brzoźkach otaczających polanę. Nie przyjąłem propozycji Siergieja, by powrócić do samochodu i nim podjeżdżać. Buriaci tak je strzelają, lecz my jesteśmy wychowani w innej tradycji. Poprosiłem Siergieja, by w tym miejscu postawić prowizoryczną budkę z gałęzi sosny. Gdy dotarliśmy do samochodu zobaczyłem, że znajdujemy się na potężnej polanie porośniętej trawą i samosiejkami sosny, wysokimi na około dwa metry. Polana utworzona w wyniku pożaru lasu była szeroka na około trzy kilometry, a długa na ponad dziesięć. Ze wszystkich stron zamykał ją las sosnowy, z domieszką brzozy na obrzeżach.

Wróciliśmy do bazy na śniadanie i by trochę odpocząć. Po drodze obserwowałem okolicę. Krajobraz był zupełnie inny niż dotychczas, typowy równinny step poprzecinany smugami lasów. Po chwili dojechaliśmy do małej wioski, z tyłu której rozciągała się delta Selengi. Rzeka Selenga, o długości ponad tysiąca kilometrów, rozpoczyna swój bieg w górach Mongolii a kończy właśnie tutaj, w Bajkałe. Delta Selengi ma ponad sto kilometrów szerokości i poprzecinana jest kanałami czystej wody, która krętymi zakolami po około dwudziestu kilometrach wpływa do Bajkału. Teren jest typowo zale-

wowy. W jednym dniu w odległości dwu kilometrów od brzegu pasły się krowy, w następnym wszystko było zalane.

Gdy po śniadaniu spacerowałem nad brzegiem rzeki widziałem bardzo dużo gatunków ptaków, które u nas nie występują. Najwięcej jednak zaobserwowałem piżmaków, które pływały jak małe okręty podwodne, wystawiając tylko noski, którymi prują fale. Dwadzieścia lat temu piżmaki u nas też się spotykało, ale nie w takiej liczbie. Znałem myśliwego, który niegdyś w sezonie strzelał ponad sto piżmaków. Potem szyl dwa futra, jedno ciemniejsze z grzbietów, drugie, jaśniejsze, z brzuszków. W tym czasie panowała moda na futra. Gdy ów myśliwy je sprzedał, opłacał sobie całoroczne polowania i jeszcze mu sporo zostawało. Później pojawiła się norka amerykańska, która wytępiła większość populacji piżmaka. Chociaż ostatnio w pobliżu mojego domu, w rowie, na łące zaobserwowałem kilka piżmaków. Jednak tak dużo piżmaków, jak w mokradłach Selengi, nie widziałem nigdy.

Od gospodarza bazy dowiedziałem się, że tutaj nie strzela się piżmaków, lecz łapie w potrzaski, aby nie uszkodzić skórki. Myśliwi tylko z tej osady łapią rocznie ponad dwadzieścia tysięcy tych gryzoni. Poza łowieniem ryb jest to dla nich podstawowy dochód.





Przy kolacji opowieściom nie było końca, każdy z nas po kolei opowiadał, co w tym dniu przeżył i nawet nie zauważyliśmy, kiedy zapadł zmrok, a później ciemna noc. W pewnym momencie zreflektowaliśmy się, że część kolegów, wliczając w to mnie, następnego dnia od wczesnego poranka ma znów polować. Rozsądek nakazywał, aby się trochę przespać, ale i tak nie mogłem szybko usnąć. Wspomnienia dnia wracały. Takie polowania to jednak duży ładunek emocji.

O dziwo wyspany i wypoczęty obudziłem się jeszcze ciemną nocą i zgodnie z umową pojechałem z Goszą do budki na toki cietrzewi. Podróż nie była długa. W pół godziny dojechaliśmy na polanę. Jadąc polną drogą, biegnącą lewą stroną polany, szukaliśmy znaku. Znakiem tym była spora gałąź z sosny ułożona w poprzek drogi. Tam wysiadłem i ruszyłem pomiędzy rosnące samosiejki sosny. Przyświecając sobie nisko nad ziemią latarką wypatrywałem odłamanych gałązek sosny leżących na ziemi. Ich ułożenie wskazywało dalszy kierunek. Po około pół godzinie zobaczyłem dwie bardzo za-

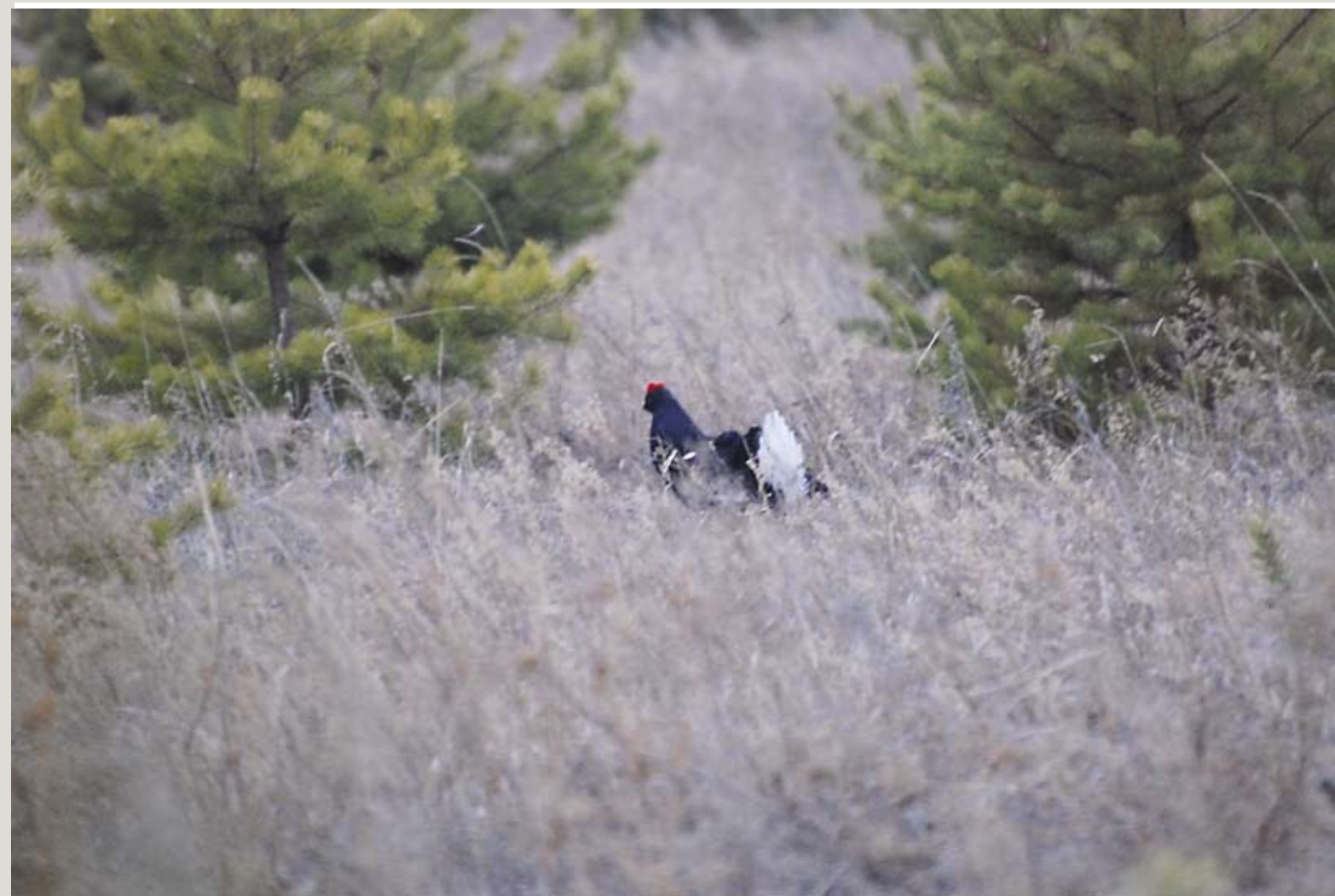
gęszczone, blisko siebie rosnące sosenki – to był cel mojej wyprawy. Budka nie wyróżniała się z otoczenia i gdyby nie prowadziła do niej ścieżka z gałązek, na pewno bym ją w tych ciemnościach ominął. Odsunąłem ściętą i wbitą w ziemię gałąź, po czym wśliznąłem się do środka. Wszystko wokół było pokryte szronem. Dobrze, że przezornie ubrałem się grubo. Oprócz broni niosłem do budki mały klocek drewna, który miał mi służyć za stół. Rozglądałem się po wnętrzu, ustawiłem ten niby stół, usiadłem na nim i załadowałem broń zastygając w oczekiwaniu. Było zimno i wilgoć wchodziła do wnętrza budki. Pomimo ciepłego ubrania mróz zakradał się pod nie, a ja, siedząc w bezruchu, marzłem coraz bardziej. Jeszcze było zupełnie ciemno, gdy usłyszałem głos skowronka, głoszącego radość życia. To znak, że wschód słońca już niedaleki i należy wzmocnić uwagę. Jeszcze nie przebrzmiał śpiew tego urokliwego ptaszka, gdy w ciszy poranka, z oddali, usłyszałem łopot zamarniętych skrzydeł i głośnie „pacnięcie”, jakby wystrzał. To wylądował pierwszy cietrzew.

Po chwili podobny odgłos i za chwilę następne. Pomimo zimna i kostniejących nóg nie śmiałem się poruszyć. Tokowik jednak nie pozwolił na siebie długo czekać i bardzo blisko usłyszałem – „czuszszy”, „czuszszy”. W ciemności jeszcze nic nie było widać, słyszałem jednak, że cietrzewie przemieszczają się koło budki i dążą w miejsce przede mną. Za chwilę słyszałem już ciche bulgotanie i krótki łopot skrzydeł.

Świt przychodził szybko. W półmroku widziałem już sylwetki kogutów, odbijających się na tle uschniętej trawy. Mogłem delikatnie zmienić ułożenie zdrętwiałych nóg i przysunąć się do otworu wyciętego w gałęziach. Na zewnątrz zobaczyłem dużą łąkę, którą z rzadka porastały sosenki. Między nimi uwijało się kilka czarnych kogutów. Kur jeszcze nie było widać, gdyż ich ubarwienie w szarówce świtu zlewało się trawami. Koguty zaś wyprawiały różne harce. Kręciły koła trąc sterówkami skrzydeł o ziemię, rozchodziły się, by po chwili natrzeć na siebie skacząc i podlatując w górę. Tokowisko rozbrzmiewało cichym bulgotem i wplatanym w nie głośnym czuszykaniem,

syczeniem, jakby ktoś spuszczał powietrze z opony samochodowej. Byłem mniej więcej w centrum polany, która zewsząd rozbrzmiewała bulgotem i co ciekawe, te odgłosy lepiej słyszałem z tyłu, z dużej odległości. Natomiast koguty, które tokowały koło mnie nadymały się, a para ulatująca z ich dziobów była w ten mroźny poranek dobrze widoczna. Dźwięk ich bulgotu był prawie niesłyszalny, zagłuszał je bowiem ten z dalszej odległości.

Przeglądałem się z zaciekawieniem, po raz pierwszy uczestnicząc w takim widowisku. Czułem się jak w wielkim teatrze, gdzie głównymi aktorami byli czarni namiętni rycerze. Zaczęło się rozjaśniać. Słońce pokazało swój rąbek tarczy na tle drzew porastających polanę. I w tym momencie wszystkie cietrzewie zamilkły. Zdarzyło się to, o czym czytałem w wielu książkach – „szabas”. Można by powiedzieć, że cietrzewie oddają hołd wschodzącemu słońcu. W polu widzenia miałem dwa koguty siedzące w trawach nieruchomo, lecz jeszcze rozgrzane walką. Widać było parę unoszącą się nad nimi. Po chwili tokowik wydał pierwszy dźwięk, za-



syczał, zaczuszykał i tok zaczął rozkręcać się na nowo. Dojrzałem już cietciorki kręcące się po polanie i wiedziałem, że niedługo scena opustoszeje. Trzeba było decydować się na strzał. Gdy tak przyglądałem się cietrzewiom, teren tokowiska przesunął się trochę dalej i był zasłonięty kilkoma sosenkami. Co jakiś czas któryś z kogutków wyskakiwał ponad nie, miękko lądując na ziemi i w płasach dołączał do reszty tokujących za zasłoną traw i drzewek. Pomyślałem więc, że muszę to wykorzystać i strzelić właśnie takiego. Z okienka wyciętego nisko w budce byłoby to niemożliwe, gdyż widok zasłaniały mi wysokie trawy. Postanowiłem więc wstać, a że budka nie była wysoka, wystawałem ponad nią. Tak przygotowany z bronią przy ramieniu czekałem na sposobność do strzału. Czas już nagiął. Co chwilę słychać było furkot odlatujących kurek, a za nimi i kogutów. Gdy następny kogut podfrunął ponad sosenkami w moim kierunku i wylądował na ziemi - strzeliłem.

Odległość była dobra, około czterdziestu metrów, lecz czy to z powodu długiego oczekiwania czy zmarznięte ciało nie reagowało tak szybko, strzał był niezbyt celny. Kogut, co prawda się wywrócił, lecz wieloletnie doświadczenie w strzelaniu do ptactwa podpowiadało mi, że jest niedobrze. Szybko złamałem kniejówkę, wprowadziłem nowy nabój i wyszedłem z budki przez luźne gałęzie.

Nie spuszczaając cietrzewia z oczu, szedłem w jego kierunku. Gdy byłem niedaleko nagle poderwał się i na zaczął wyciekać. Byłem na to przygotowany i drugi strzał był już celny. Po strzale z traw zerwały się jeszcze dwa koguty, które usiadły na pobliskiej sosence i przyglądały się z zaciekawieniem. Były blisko - można powiedzieć - na pewny strzał, lecz stwierdziłem, że ten jeden wystarczy, niech się rozmnażają i cieszą oczy innych myśliwych, którzy będą tu w przyszłości polować. Powoli podchodziłem do leżącego koguta. Słońce migotało na jego granatowych piórach i nabrzmiałych karminowych brwiach.

Zmarzłem na tej zasiadce, pomimo ciepłego ubrania, ale teraz wewnętrzne zadowolenie ruszyło zastygłą krew i powoli

dochodziłem do siebie. Podniosłem upolowanego koguta, urwałem gałązkę z sosenki, podzieliłem na dwie części, jako ostatni kęs i złomkami udekorowałem jego oraz siebie. Był dla mnie wyjątkowy, bo upolowałem go sam bez pomocy gospodarzy. Chwilę potem udałem się w powrotną drogę do samochodu.

Idąc na skróty w kierunku obrzeża polany wyszedłem na drogę około trzysta metrów przed widocznym na drodze samochodem. Gosza stał koło niego i gdy mnie zobaczył niezwłocznie podjechał, pytając o rezultaty polowania. W powrotnej drodze opowiadaniom nie było końca.

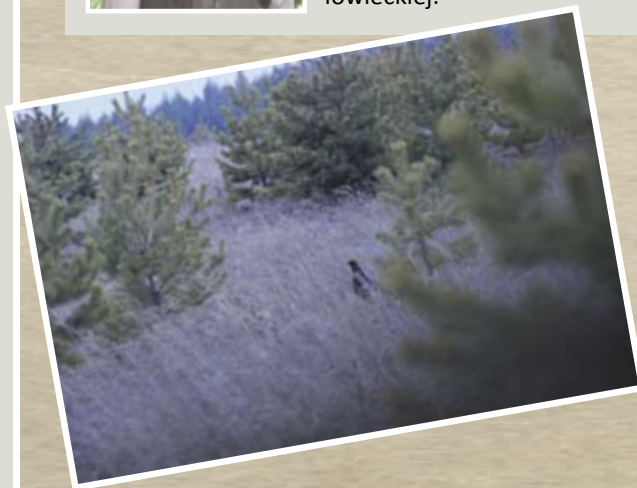
Przypomniały mi się czasy szkolne, z obowiązkową nauką języka rosyjskiego, wtedy niekoniecznie ulubioną, lecz teraz bardzo przydatną. Musiało we mnie gdzieś to siedzieć, bo bardzo szybko przypomniały mi się wyrazy i zwroty w tym języku. Toteż po tygodniu pobytu bez problemu porozumiewałem się z Buriatami, nie tylko rękami.

Wracaliśmy z polowania w radosnym nastroju. Słońce świeciło jasno. Było mi błogo na duszy, czułem się spełniony i zadowolony z całej wyprawy. Pozostał nam jeszcze jeden dzień. W południe następnego mamy jechać do Ułan Ude. A później powrót do Polski.

Fragment z opowiadania autora opisującego wyprawę na Syberię w roku 2010



Andrzej Patoła
Myśliwy od 1973 roku, Prezes Koła Łowieckiego Hubert w Proszowicach. Myśliwski globtroter, kolekcjoner oraz autor opowieści o tematyce łowieckiej.



POLMET
tel. 34/ 361 61 71
tel. kom. 504 047 863
e-mail: polmet@polmet.com.pl

medale pamiątkowe
znaczki okolicznościowe
pinsy
odznaczenia
ordery

przypinka.pl
tel. 694 222 799

PRZYPINKI OKOLICZNOŚCIOWE
MAGNESY PAMIĄTKOWE
BRELOCZKI
PINSY 3D (ZALEWANE ŻYWICĄ)
PINSY EMALIOWANE, ODLEWANE

STAŻ ŁOWIECKI okiem łowczego

Jerzy Chmiel



„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” napisał w roku 1600 Jan Zamoyski, hetman wielki koronny w akcie fundacyjnym Akademii Zamojskiej.

Parafrazując słowa tego wielkiego Polaka można powiedzieć: „Takie będziemy mieli łowiectwo, jak ukształtujemy na stażu przyszłych myśliwych”.

Zacznę od tego, jak wyglądał staż za czasów mojej młodości. Kiedy z końcem lat 70-dziesiątych, starałem się dostać do koła, to wówczas trwał on dwa lata. A jeśli nie pochodziło się z rodziny o tradycjach myśliwskich, to okres przygotowania wydłużał się o kolejne lata, ponieważ najpierw miało się status „kandydata na staż”. W praktyce moż-

liwość odbycia stażu przysługiwała tym, którzy mieli wielkie samozaparcie i prawdziwą pasję łowiecką. Na stażu też nikt się nami specjalnie nie przejmował, nikt nie mówił o prawach stażysty, ale o jego obowiązkach i podejmowanej pracy. Trzeba jednak podkreślić, iż koło, które zdecydowało się na przyjęcie stażysty musiało, po ukończeniu stażu, przyjąć go w swoje szeregi. W kołach ustalano więc limit członków, a pierwszeństwo miały, rzecz jasna, dzieci polujących myśliwych. Zwierzyny grubej było mało i w związku z tym, prawo odstrzału tych kilku zwierząt przysługiwało członkom zarządu lub innym doświadczonym, zasłużonym nemrodom. Reszta członków koła zadowolić się musiała zwie-

rzyną drobną, ale nikomu z młodych nie przyszło do głowy podważanie takiej decyzji ani głośnie komentowanie, że jest to niesprawiedliwe. Polowano więc na zające, kuropatwy i bażanty, których było wszędzie pod dostatkiem. Polowano zbiorowo, a obowiązkiem stażysty było chodzenie w nagance. Kto mieszkał w terenie musiał też zająć się werbowaniem naganiaczy. Było to nie lada wyzwanie, zważywszy na to, że zbiorówki odbywały się kilkanaście razy w roku od października do końca stycznia włącznie. Pogoda też nie rozpieszczała: brnęliśmy w śniegu, na mrozie i wietrze próbując zdyscyplinować wiejskich chłopców, którzy mieli wielki problem z utrzymaniem prawidłowej linii naganki. I tak w każdą niedzielę. Dodatkowo, najczęściej w styczniu, celem podreperowania budżetu, koła organizowały odłowy żywych zajęcy. Liczył się więc każdy złapany zajac. Nasza praca polegała na rozkładaniu 1-2 kilometrów sieci, na wyciąganiu i załadunku szaraków na wozy, następnie na zwijaniu sieci i tak od nowa. Pomimo mrozu, czasem nawet kilkunastostopniowego, mieliśmy od wysiłku mokre plecy. Dziennie odbywały się dwa, trzy pędzenia. Kto nie miał prawdziwego zapалу, nie dotrwał do końca stażu.

Można powiedzieć, że odbywała się naturalna selekcja. Taki staż był dużym doświadczeniem i wiele nas nauczył. W ten sposób poznawało się świetnie cały teren: każdą ścieżkę i miedzę, wąwozy, remizy, leśne młodniki oraz parowy. Miejsca, gdzie tak naprawdę przebywa zwierzyna i które przelotnie przechodzi. Jest to wiedza bezcenna dla człowieka chcącego uprawiać łowiectwo i w łowiectwie osiągać sukcesy. Nikt oczywiście nie uczył nas teorii, nie było też treningów strzeleckich. Po prostu, dostawało się zaświadczenie o odbyciu stażu i dalej trzeba było radzić sobie samemu, tzn. zaliczyć kurs, przygotować się do egzaminu i go zdać, a dopiero potem uczyć się sztuki polowania. Zdarzali się szczęściarze, których ojciec lub dziadek polował i mieli możliwość pójść z nim na łowy lub pojechać na strzelnicę, ale jeśli łowiectwem chciał się parać ktoś spoza tego grona, to miał mocno utrudnione zadanie. Dlatego też utarło się przekonanie, że to hobby elitarne. Być może tak było, ale ta elitarność i trudność w dostaniu się i odbyciu stażu sprawiały, iż poziom łowiectwa był naprawdę wysoki. Oczywiście zdarzały się niechlubne wyjątki, jak w każdej grupie społeczno-zawodowej, lecz ich odsetek był





niski. Sprawy dotyczące łamania zasad etyki łowieckiej były rozstrzygane szybko, gdyż koła pozbywały się takich osób i nie było prawnych możliwości odwołania się od decyzji zarządu, nie było bynajmniej prawników, którzy podejmowaliby się obrony w spornych sprawach łowieckich, nie istniała instytucja członka niezrzeszonego. Byliśmy równi. Niemal wszyscy polowaliśmy z takiej samej broni, jeździliśmy na polowania starym autobusem marki Jelcz, a najpopularniejszym samochodem terenowym był Fiat 126p. Każdy młody myśliwy umiał się zachować, tzn. wiedział, że należy pomóc starszemu koledze patroszyć, nieść upolowaną zwierzynę lub szukać postrzałka. Myśliwy wracający z polowania z ubitą zwierzyną słyszał słowa uznania od swoich kolegów i sąsiadów. Uważam, że były to czasy prawdziwego, radosnego łowiectwa.

W ostatnich latach wizerunek łowiectwa

oraz jego prestiż społeczny gwałtownie się pogarszają. Szukając sposobu na wyjście z tej sytuacji stwierdzono, że większa liczba myśliwych w społeczeństwie polepszy dzisiejszy obraz kultury łowieckiej. Cóż więc zrobić, aby w stosunkowo krótkim czasie zwiększyć odsetek osób przynależących do PZŁ? Ułatwić dostęp! Skrócono, więc staż do 1 roku (a były pomysły, aby zredukować go do sześciu miesięcy!). Obecnie każda osoba, która wyrazi chęć i zgłosi się do zarządu okręgowego musi zostać przyjęta na staż i w ten sposób szuka się na siłę miejsca dla stażysty. Potem dowiadujemy się, że są koła, którym udaje się "wychować" po kilkunastu stażystów w roku. Wręcz zdumiewające! Tyle, że na egzaminie dla nowo wstępujących taki kursant nie potrafi wymienić nazwisk członków zarządu koła, w którym odbył staż ani nie zna jego pozostałych członków. Nie potrafi również opi-

sać terenu, w którym odbył staż ani zwierzyny tam bytującej. Jestem egzaminatorem i często obserwuję oraz oceniam przyszłych myśliwych. Ostatnio, będąc na egzaminie, widziałem z jaką trudnością kursant odpowiada na pytanie dotyczące sposobów polowania i zadałem mu jedno dodatkowe, a mianowicie, ile razy uczestniczył na stażu w polowaniu? Młody człowiek z rozbrajającą szczerością odpowiedział, że jeden raz był z opiekunem na polowaniu na bązanty. Gdy zapytałem dlaczego tylko jeden raz? Padła odpowiedź: „Bo opiekun nigdy nie miał czasu”. Tyle że stażu nie można odbyć „zaocznie”. Odkąd zostałem łowczym miałem wielokrotnie możliwość rozmowy z chętnymi na staż. Na początku zawsze pytam o motywację i ilość czasu, który kandydat jest w stanie poświęcić na wyjazdy do łowiska. Motywacje bywają różne. Kiedyś zgłosił się do mnie kandydat, który młodość miał dawno za sobą, a znaczna nadwaga utrudniała mu wysiadanie z luksusowej terenówki. Zapytałem dlaczego chce zostać myśliwym? Odpowiedział szczerze: „Bo wszyscy moi koledzy już są, tylko ja jeszcze nie”. Kiedy zacząłem mu opowiadać jak budujemy ambony, zakładamy poletka, zbieramy karmę na zimę, pilnujemy upraw i że każdy myśliwy ma obowiązek przepracowania co najmniej 100 godzin w roku, najaktywniejsi mają nawet po 300, a stażysta

też musi w tych pracach brać udział, to stwierdził, że na to nie ma czasu, gdyż zajmuje się działalnością biznesową, ale może zapłacić i zaproponował mi znaczną sumę pieniędzy. Odpowiedziałem, że takie praktyki nie mają miejsca w naszym kole, a staż służy zdobyciu wiedzy i doświadczenia. Na stażu ma się nauczyć na czym polega gospodarka łowiecka, ma brać udział w polowaniach, poznać regulamin i zasady bezpieczeństwa. Odjechał urażony twierdząc, że w takim razie staż „załatwi sobie” w innym kole. Jako opiekun od stażystów wymagam przede wszystkim udziału w organizowanych wspólnie pracach, w polowaniach indywidualnych oraz zbiorowych, udziale w inwentaryzacji, organizacji imprez oraz treningach strzeleckich organizowanych przez koło. Opiekunem stażysty może być jedynie osoba z odpowiednią wiedzą łowiecką i która ma chęć i czas dla stażysty. Nie może go traktować jak intruza czy „zło konieczne”. Należy zaznajomić go z wszystkimi kierunkami działalności koła i wykorzystać umiejętności i kompetencje, jakie posiada dany kandydat. Stażystę rolnika powinno się ukierunkować na uprawę poletek, zagospodarowanie łowiska czy szacowanie szkód, osoby z wykształceniem ekonomicznym do pomocy skarbnikowi, tych z wykształceniem technicznym do budowy np. urządzeń łowieckich, itd. Wszak





w przyszłości to oni będą decydować i nadzorować wszystkie wykonywane w kole prace. To od opiekuna zależy jakie nawyki zaszczerpi w przyszłym myśliwym. Do naszego koła bierzemy na staż te osoby, które wykazują pasję i chęci. Początkowo co drugi kandydat sam rezygnował twierdząc, że to nie dla niego, że nie ma tyle czasu lub że miał inne wyobrażenie łowiectwa. Uważam, że jest to także dobre zjawisko, gdyż pozostają na stażu tylko najlepsi. Takie uczciwe i rzetelne podejście do kandydatów procentuje, gdyż o naszym kole mówi się, że nie da się u nas załatwić szybkiego stażu i że zostają u nas sami pasjonaci, a ja z dumą i przyjemnością mogę potem obserwować ich pozytywnie zdane egzaminy. Okres stażu jest też czasem wzajemnego poznawania się i integrowania z kolegami w kole. Nawiązują się znajomości i przyjaźnie, które sprawiają, iż przyjęcie stażysty do koła staje się naturalnym procesem. Zdarzają się jed-

nak sytuacje, że stażysta, mimo odbytego stażu, nie potrafił zintegrować się z grupą i nie zostaje członkiem koła. To dobrze, że różnice wychodzą wcześniej, gdyż po przyjęciu stanowiłyby tylko zarzewie dalszych konfliktów i nieporozumień, które niestety trawią wiele kół od środka. Jak powinien wyglądać staż opisano w wielu podręcznikach i teoretycznie wiedzą to wszyscy. Problem polega na tym, aby wprowadzać te zasady w życie. Od początku najważniejsza jest postawa zarządu koła, między innymi to, aby nie uzależniać przyjęcia na staż i odbycia go z żadnymi gratyfikacjami finansowymi na rzecz koła czy osób prywatnych. O łamaniu tej zasady często, niestety, się słyszy. Niedawno, w trakcie egzaminu dla nowo wstępujących usłyszałem na korytarzu rozmowę dwóch adeptów na temat tego ile i komu trzeba zapłacić, aby dostać się na staż, a następnie do koła łowieckiego. Przyjmując pieniądze sprawiamy, że to darczyńca

zaczyna „rozdawać karty”, a potem odwrotu już nie ma. W ten sposób wpuszczamy w nasze szeregi osoby, które niszczą dobre imię łowiectwa oraz łamią zasady etyki łowieckiej: korumpują, strzelają do ludzi, bo pomylili ich z dzikiem, strzelają z okna samochodu, bo tak wygodniej i szybciej, itd.

Ktoś zapytał mnie, jak poprawić wizerunek łowiectwa? Odpowiedź jest prosta: zacząć od wzorcowego wychowania stażysty, aby w przyszłości stał się dobrym i prawym myśliwym. Aby tak się stało musi on mieć zagwarantowany solidny i rzetelny staż pod nadzorem etycznego opiekuna. Niech stażystów będzie mniej, ale niech pozostają tylko najlepsi. Postawmy na jakość, a nie na ilość!

Po drugie, uważam, że przykład idzie z góry i należy usunąć z naszych szeregów wszystkich, którzy łamią zasady etyki łowieckiej i plamią nasze dobre imię. O dobrą reputację najpierw musimy zadbać sami, a dopóki będzie ciche

przyzwolenie na kombinowanie i cwaniactwo, to zawsze będziemy źle oceniani. Zszarganą opinię trudno odbudować. Łowiectwo będzie tak postrzegane, jak postrzegani są ludzie polujący. Jeśli szanuje się ich jako człowieka, będzie się też szanować ich pasję.



Jerzy Chmiel

Myśliwy, wieloletni działacz łowiecki znający się na gospodarce łowieckiej jak mało kto.

Od blisko ćwierć wieku jest łowczym Koła Łowieckiego „KNIEJA” w Krakowie. Delegat na Krakowski Zjazd Okręgowy Delegat z Krakowskiego Okręgu PZŁ na Zjazd Krajowy



HISTORIA ŁOWÓW ZAWARTA W PRZYSŁOWIACH



Beata Malczewska

O tym, że przysłowia są mądrością narodu wie każdy, ale niewielu z nas zdaje sobie sprawę z bogactwa, różnorodności i roli jaką paremie pełniły od wieków w naszym języku, kulturze i życiu.

By określony „twór literacko-językowy” uznać za *przysłowie* musi on spełniać określone warunki. Po pierwsze, musi mieć *charakter dydaktyczny*, czyli przekazywać wiedzę. Większość zebranych przez paremiologów przysłów powstało w poprzednich wiekach, w dobie wysokiego analfabetyzmu, gdy ludzie tworzyli je po to, by podzielić się swoim doświadczeniem, praktyczną wiedzą, radami i aby wyjaśnić sobie wzajemnie różnego rodzaju zjawiska, których nie byli w stanie pojąć. Przysłowia musiały mieć też *charakter obrazowo-ludyczny*, czyli występować jako krótka, zabawna, często rymowana „historyjka”. Ponadto musiały być *trwałe i powszechne* w użyciu. Ich forma i treść musiały być ogólnie znane, przekazywane z pokolenia na pokolenia i nie można było dowolnie zmieniać elementów danego przysłowia. Na tym właśnie

budowano siłę i wielowiekowy charakter przysłów. Wśród różnorodności paremiologicznych przysłowia łowieckie są zbiorem dość pokaźnym, ale wydaje się, że w dobie smsów i maili stanowią element kultury łowieckiej niedoceniany i coraz rzadziej stosowany w wypowiedziach nemrodów.

Największym badaczem i propagatorem przysłów o łowiectwie jest Profesor Władysław Dynak, który w swojej monografii „Łowy, łowcy i zwierzyna w przysłowiaach polskich” (1993) zebrał i usystematyzował bogaty i wyczerpujący materiał paremiologiczny. I choć we wcześniejszych zbiorach paremie łowieckie znalazły swoje miejsce, to w gąszczu hasel umykały uwadze czytelnika, bo kryteria podziału tych hasel były mało przydatne i oderwane od realiów myśliwskich oraz od pierwotnego, dosłownego znaczenia terminów łowieckich.

Jako przykład mogą posłużyć przysłowia o zającu takie jak: *Głupi jak kot po pono-wie*, *Siedzi jak kniaź*



rys. Hubert Zwinczak

w kapuście, *Wyrwał się jak filip z konopi*. Rzecz w tym, że przysłowia te są często umieszczane pod hasłami: ‘kot’, ‘kniaź’, ‘filip’ i dopiero identyfikacja kota, kniazia oraz filipa jako synonimów zająca umożliwia właściwe zrozumienie i kwalifikację odnoszących się doń przysłów. Rozpoznanie zająca szaraka w nazwach *filip*, *kniaź* czy *kot* jest niezmiernie trudne dla osób, które nie miały do czynienia z kulturą i gwarą łowiecką i choć znają przysłowie *Wyrwać się jak filip z konopi* to nie rozpoznają w nim łowieckiego określenia popularnego *szaraka*.

Większość przysłów łowieckich powstała do końca XVIII wieku i było tworzonych głównie w kręgach szlacheckich. Mówi się, że przysłowia są kulturowym produktem stanu drobnomieszczańskiego. Wynikało to z prowadzonej wówczas polityki, społecznego stylu życia i gospodarki łowiecko-rolnej. Obowiązywało *regale łowieckie* – prawo dające szeroki zakres uprawnień książęcych, które z kolei było nadawane biskupom i szlachcicom będącym w łaskach panującego. Regale łowieckie dotyczyło: prawa polowania wszędzie i na wszelką zwierzynę; wyłączności książęcych łowów na *animalia superiora*; prawa władcy do udzielania zezwolenia na łowy duże i małe; prawa narzucania poddanym grupowych zadań łowieckich o określonych specjalizacjach; egzekwowania od ludności wiejskiej różnych posług i świadczeń zapewniających utrzymanie księcia, jego dworu i służb łowieckich w czasie odbywania łowów. Regale łowieckie było zatem przywilejem niezmiernie szerokim. Bogaty właściciel dóbr ziemskich mógł polować na każdą zwierzynę, która była atrakcyjna z punktu widzenia kulinarnego, ekonomicznego czy towarzyskiego. Co więcej, mógł wymagać wsparcia w przedsięwzięciach myśliwskich ze strony poddanych, którzy niestety nie czerpali z tego zysków ani satysfakcji. Możliwość polowania głównie na zwierzynę grubą, ale nie tylko. Na przykład zając również cieszył się dużą popularnością. Obserwacja tego zwierzęcia oraz bogate doświadczenie z łowów z psami (chartami, ogarami) przyczyniły się do powstania bardzo wielu przysłów. Oto kilka: *Powraca jak do miejsca zając*;

Poznasz gracza w polu; Prędko jak zając; Przyczaił się jak zając pod miedzą; Skromny jak zając w kapuście; Przed jednym chartem ucieka sto zająców; Umyka jako zając przed ogary itd.

Łowy na grubego zwierza były zarezerwowane jedynie dla króla, szlachty, biskupów, a ponieważ wymagały odpowiedniego sprzętu, zaangażowania wielu pomocników, posiadania psiarni, koni, to polowanie stało się wielkim przedsięwzięciem logistyczno-towarzyskim. Łowy były integralnym składnikiem ziemiańskiej ekonomii oraz istotnym elementem ziemiańskiego stylu życia, sposobem na nawiązanie i podtrzymywanie dobrych relacji sąsiedzkich czy utrzymywaniem sprawności fizycznej w czasach pokoju. Przysłowia powstawały podczas żartobliwych, biesiadnych rozmów jako anegdota czy trafne konkluzje towarzyskie. Ich geneza i żywotność wynikały z tego, że polowania stanowiły dynamiczne wydarzenia lokalnej społeczności wspomniane później miesiącami, a nawet latami. W ten właśnie sposób tworzone były powiedzenia, dyktetyki i całe bogactwo terminologii łowieckiej. Tak również powstało przysłowie ukazujące odrębność gwary myśliwskiej, a mianowicie *Psy w domu szczekają, w kniei zaś grają*.

Inaczej zarysowuje się tradycja łowiectwa ludowego, która nie znajduje prawie wcale odzwierciedlenia w przysłowiaach, co wynikało z dawnego prawa i sytuacji ludności wiejskiej.

Ludność ta mogła jedynie liczyć na prawo do polowań na *animalia minuta*, głównie ptactwo łapane na różnego rodzaju lepy i sieci. Wielkie łowy szlacheckie stanowiły dla nich utrapienie, gdyż polowania z psami myśliwskimi doprowadzały do zadeptywania i niszczenia plonów, co było szczególnie dotkliwe w okresie poprzedzającym żniwa. Ponadto chłopci musieli zagwarantować posiłki dla strudzonych myśliwych oraz świadczyć pomoc fizyczną przy noszeniu ekwipunku, patroszeniu, układaniu pokotu, transporcie ubitej zwierzyny. Nie czerpali oni zatem należytej satysfakcji z łowów, ani materialnej ani emocjonalnej, a w dodatku bieda zmuszała ich do niebezpiecznego kłusownictwa, które było srogo karane.



Z tego powodu łowiectwo, choć powszechnie praktykowane, nie zostało uwiecznione w przysłowiach i powiedzeniach ludowych, gdyż był to temat tabu, smutny i przygnębiający. Władysław Dynak tłumaczy to w następujący sposób: „Bardziej lub mniej surowe represje – do kary śmierci włącznie – sprawiły, iż ten rodzaj zajęć w stanie włościańskim otoczony był zawsze najgłębszą tajemnicą. Najwięksi kłusownicy byli zarazem najzawziętymi milczkami, w przeciwieństwie do stanu szlacheckiego, w którym z reguły najslabsi myśliwi byli zarazem największymi łgarzami”.

Przyznaję, że z dużym trudem udało mi się wyekscerpować pojedyncze przysłowia myśliwskie opisujące biedę i los poddanych uzależnionych od decyzji właściciela ziemskiego.

Oto one:

- *Łaska pańska tak krótka jak kosmyk*. ‘Kosmyk’ to inaczej zajęczy ‘omyk’ – powiedzenie ironiczne, mówiące o małej łaskawości panującego;

- *Pański pies, pański owies* lub wersja *Twój pies, twój owies* – gorzkie przysłowia, traktujące o nieposzanowaniu upraw przez polujących z chartami czy ogarami;

- *Sluchać pańskiej trąby* – przysłowie mające genezę z polowań z ogarami. Trąbienie to sygnał stosowany na polowaniach zbiorowych z psami. Trąbieniem łowczy kierował pracą psów i służby łowieckiej, porozumiewał się z myśliwymi, ogłaszał śmierć zwierza, zwoływał do odprawy. Dla osób pomagających w przebiegu łowów przysłowie odnosiło się nie tylko do psów, ale było pojmowane metaforycznie jako podleganie komuś, jako posłuszeństwo wobec wielkich panów;

- *Jak zabijesz bobra, nie będziesz miał dobra* – dawniej bóbr był zwierzyną niezwykle cenioną ze względu na

walory użytkowe futra, mięsa, sadła i tzw. *stroju*, zwanego również z łaciny *castoreum* – charakterystycznej wydzieliny z gruczołów prepucjalnych wykorzystywanej jako lek na wiele dolegliwości. Od samego początku funkcjonowania regale łowieckiego, prawo do polowań na ten gatunek należało wyłącznie do władcy, który zdawał sobie sprawę z wartości rynkowej zwierzęcia i skrupulatnie kontrolował stan liczebny żeremi oraz ewidencjonował bobrowe futra. Nadanie prawa odłowu tych zwierząt było dużym wyróżnieniem dla otrzymującego. Źródła historyczne podają, że pierwsze regale bobrowe otrzymywali od połowy XII wieku najbardziej wpływowi arcybiskupi i zakonnicy. Nadania świadczyły o traktowaniu tej formy uposażenia jako równoważnej nakładom kruszcowo-pieniężnym i dowodziły wysokiej pozycji łowiecko-ekonomicznej bobra. Z tego powodu każdy właściciel gruntów dążył do zintensyfikowania eksploatacji bobrowego bogactwa poprzez organizację służb bobrowniczych i obciążenie ludności pospolitej obowiązkiem strzeżenia żeremi, a także odpowiedzialnością za ich bezpieczeństwo. Obowiązek ten był dla mieszkańców wsi niezmiernie uciążliwy i niewypełnienie go wiązało się z poważnymi konsekwencjami finansowymi lub innymi karami.

Przysłowie *Jak zabijesz bobra, nie będziesz miał dobra* może być rozumiane w dwojaki sposób. Jeśli nie dopilnujesz swoich obowiązków i żeremie oraz rodziny bobrowe ulegną zniszczeniu, to poniesiesz karę. Druga interpretacja: jeśli skłusujesz bobra i zostaniesz złapany, czekają cię poważne konsekwencje. Co ciekawe, istnieje przysłowie skierowane do „posiadaczy” regale bobrowego: *Jak masz dobra, to sprawa dobra*, czyli o czerpaniu korzyści materialnych z prawa do polowań na to zwierzę.



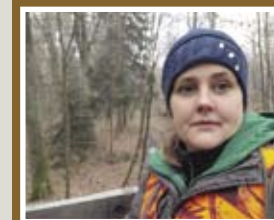
rys. Hubert Zwinczak

Dawne łowiectwo szlacheckie było ściśle powiązane z prowadzoną przez ziemian gospodarką rolną, dlatego te dwa pola leksykalne „łowcy” i „rolnictwo” są w przysłowiach skorelowane ze sobą w dwojaki sposób. Pierwszy, to pozytywny wizerunek myśliwego-rolnika, który dba o plony, prowadzi racjonalną gospodarkę łowiecką, wsiedla zagrożone gatunki, poluje z umiarem oraz poszanowaniem fauny i flory: *Kto ochrania i hoduje, ten poluje; Temu bór darzy, kto dobrze gospodarzy; Jakie pole, taka zwierzyna; Masz pole, masz zająca*.

Drugi obraz szlachcica-myśliwego, który wyłania się z przysłów jest negatywny. Przedstawia złego gospodarza ziemskiego, którego finansowo zgubiła myśliwska pasja. To osoba tak pochłonięta łowami, że zaniedbuje gospodarstwo rolne i doprowadza swój majątek do bankructwa. Wydatki związane z nawet „miernym myślistwem” bardzo często przekraczały możliwości finansowe drobnej szlachty. Chodziło o koszty związane z utrzymaniem psiarni, koni, służby, sprzętu, które były ogromne i niewspółmierne do ewentualnych korzyści z upolowanej zwierzyny. W naszym języku powstało mnóstwo przysłów, mówiących o zgubnych skutkach wynikających z przedkładania łowiectwa nad gospodarkę rolną. Oto kilka z nich: *Duża psiarnia zje dużego szlachcica; Dobry myśliwy – zły rolnik; Wielki nierozum duu psów dla jednego zająca chować; Kto poluje, łapie w sieci, zawsze gołą dupą świeci; Kto ma zbyt tłustą stajnię i psiarnię, ten ma chudą oborę; Kto trzyma dużo psów i koni, taki rychło majątek strwoni; Kto trzyma psiarnię, trwoni grosz marnie*.

W języku polskim powstało ponad tysiąc przysłów o tematyce łowieckiej. Jest to ogromny zbiór powiedzeń, będących świadectwem historii Polski, łowów, dziejów społeczeństwa i obyczajowości. Przekazują nam one wiedzę na temat bogactwa fauny i flory, na temat życia i pasji myśliwskiej naszych

przodków. I choć zmieniły się czasy, techniki polowań, wyposażenie, lista gatunków łownych, to uniwersalny charakter paremii sprawia, że nie tracą one swej dydaktyczno-ludycznej wymowy również w XXI wieku. Warto znać choć kilka z nich, gdyż stanowią niematerialne dziedzictwo kultury i polskiego języka łowieckiego, które należy pielęgnować i przekazać naszym dzieciom. Skoro nie możemy ich zabrać ze sobą na ambonę, to przynajmniej uczmy ich naszego języka łowieckiego!



dr Beata Malczewska
adiunkt w Katedrze Językoznawstwa Włoskiego Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Członek PZŁ od 2021 roku. Związana z Kł „Knieja” w Krakowie, członek Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej (Oddziału Rzeszowskiego)



rys. Hubert Zwinczak

20-lecie Zespołu Sygnalistów Myśliwskich

„HAGARD”



Zespół „HAGARD” tworzą studenci, którym polska tradycja łowiecka nie jest obojętna. Poprzez rozwijanie swoich muzycznych pasji, przy udziale rogów myśliwskich, pielęgnują bogatą kulturę łowiecką, która jest istotnym elementem naszego dziedzictwa narodowego.

Początki działalności zespołu sięgają 1997 roku, kiedy to został on założony przez kilku studentów Wydziału Leśnego Uniwersytetu Rolniczego im. H. Kołłątaja w Krakowie. Jednak oficjalnie, już pod nazwą

„HAGARD” (w gwarze łowieckiej: hagard – młody, niedoświadczony sokół), zaczął rozwijać skrzydła w ramach „Sekcji Etyki, Tradycji i Zwyczajów Łowieckich” Koła Naukowego Leśników, powołanej w 2001 roku przez ówczesnego Dziekana Wydziału Leśnego prof. dr. hab. Stefana Kowalskiego. Opiekunem zespołu był dr inż. Tadeusz Kubacki z Zakładu Zoologii Leśnej i Łowiectwa. Od 2005 roku zespół jest członkiem Klubu Sygnalistów Myśliwskich PZŁ, a od 2006 roku posiada własny hejnał skom-

ponowany przez pana Krzysztofa Kadleca, który to stał się jednocześnie oficjalnym hejnałem Wydziału Leśnego.

Jesienią 2021 roku zespół obchodził jubileusz 20-lecia swojego istnienia świętując go w klubie studenckim „ARKA” przy Wydziale Leśnym UR. Na jubileuszu obecni byli przedstawiciele władz Uniwersytetu, Lasów Państwowych, Polskiego Związku Łowieckiego oraz delegacje zespołów sygnalistów z SGGW w Warszawie oraz Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Podczas jubileuszu członkowie zespołu wraz z absolwentami zaprezentowali swe umiejętności podczas długiego koncertu na ponad 20 „trąb”.

Co roku „HAGARD” uczestniczy w warsztatach gry na rogu myśliwskim, a także w wielu konkursach sygnalistów myśliwskich, reprezentując Uczelnię w Polsce i za granicą. Jest również współgospodarzem jednego z najbardziej prestiżowych konkursów sygnalistów w kraju. To właśnie między innymi z inicjatywy członków zespołu w 2009 roku, odbył się na Zamku Królewskim w Niepołomicach I Małopolski Konkurs Sygnalistyki Myśliwskiej „O Róg Zbaramira”. Dzięki temu wydarzeniu małopolscy sygnaliści mogli po raz pierwszy uczestniczyć w eliminacjach do Ogólnopolskiego Konkursu Sygnalistów Myśliwskich „O Róg Wojskiego”, a uczestnicy z całej Polski mogli poczuć magiczny klimat „polowań królewskich” w Puszczy Niepołomickiej. Dzięki wieloletniej współpracy Uniwersytetu Rolniczego, Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krakowie i Zarządów Okręgowych Polskiego Związku Łowieckiego z Nowego Sącza, Tarnowa i Krakowa, konkurs doczekał się

już dwunastu edycji. Zespół bierze też udział w Ogólnopolskim Konkursie Sygnalistów Myśliwskich „O Róg Wojskiego”, który ma rangę Mistrzostw Polski. Warto zaznaczyć, że rok 2014 był okresem wyjątkowym dla zespołu, gdyż podczas XIX Ogólnopolskiego Konkursu „O Róg Wojskiego” w Człuchowie pierwszy raz w historii istnienia zespół „Hagard” zdobył mistrzostwo Polski w kategorii sygnałów myśliwskich, a w kategorii muzyki myśliwskiej zajął wysokie, trzecie miejsce. Tym sposobem sygnaliści krakowscy dołączyli do ścisłej czołówki zespołów sygnalistów w Polsce.

Na co dzień zespół wzbogaca dźwiękami rogów liczne wydarzenia o randze krajowej i międzynarodowej na macierzystej Uczelni i poza nią, organizowane między innymi przez Regionalną Dyrekcję Lasów Państwowych w Krakowie i Zarząd Okręgowy PZŁ w Krakowie, oraz uświetnia uroczystości kół łowieckich na terenie Południowej Polski.

Szczegółowe informacje o zespole można znaleźć na naszej stronie internetowej pod adresem <https://hagard.urk.edu.pl>, natomiast na naszym fanpage’u na facebook’u udostępniane są aktualne wydarzenia i osiągnięcia.

Gabriel Chlebowski



Wycena medalowa trofeów pozyskanych w sezonie 2021/2022

Mateusz Dudzik



fot. Rafał Łapiński

Trofea łowieckie towarzyszą człowiekowi od momentu kiedy tylko zaczął polować. Wszystkie są wytworem oraz przejawem witalności i siły żywotnej ich nosicieli. Ich jakość świadczy więc o kondycji fizycznej poszczególnych osobników, jak również o wartości danego siedliska, w którym żyje zwierzyna, a także o poziomie gospodarki łowieckiej w obwodzie, regionie czy też kraju.

Dla łowcy największą wartość ma trofeum, którego pozyskanie szczególnie utkwilo mu w pamięci. Wcale nie musi być to okazały złotomedalowy wieniec. Bardzo ważne jest również samo pozyskanie, pamięta się moment decyzji o strzale oraz przebieg wydarzeń po jego oddaniu, szybkie nie sprawiające zwierzynie bólu uśmiercenie. Wszystko to wpływa na rangę danego trofeum pośród innych pozyskanych. To osobista i zawsze subiektywna wartość trofeum myśliwskiego.

Oprócz subiektywnej oceny wartości trofeów posiadamy kryterium wartościowania wg formuły CIC. Formuły te zostały oparte w głównej mierze na obiektywnych pomiarach, które odzwierciedlać mają jakość tro-

feum na tle jemu podobnych, nie kierując się subiektywizmem posiadacza.

Celem działania Komisji Wyceny Trofeów Łowieckich Zarządu Okręgowego w Krakowie jest wycena medalowa tych trofeów, które po ocenie prawidłowości pozyskania spełniły podstawowe kryteria do jej przeprowadzenia. Komisja zebrała się dwukrotnie, 21 marca wyceniając wieniec jeleni byków i ślimy muflonów oraz 22 marca wyceniając parostki rogowce, łopaty danieli oraz pozostałe trofea łowieckie dostarczone przez ich posiadaczy.

Dnia 21 marca po wnikliwej analizie, w oparciu o kryteria wyceny medalowej CIC, Komisja przyznała 6 medali srebrnych oraz 9 medali brązowych, niestety w tym sezonie zabrakło „złotych” wienców. Medalowe wieniec stanowiły 13,5% spośród całego pozyskania co oznacza spadek o prawie 6 pkt. procentowych w stosunku do sezonu poprzedniego. Największą liczbę punktów (203,76) uzyskał wieniec byka upolowanego na terenie obwodu 114 (KŁ „Ponowa” Kraków) przez kolegę Jarosława Ożoga.

W zakończonym sezonie najwięcej medalowych byków (3) pozyskano na terenie obwodu 79 – dzierżawionego przez KŁ „Diana” w Chrzanowie. Niestety 2 z nich ocenione zostały jako odstrzał nieprawidłowy, myśliwi którzy je pozyskali pomylili się aż o 6 lat w ocenie ich wieku! Dzierżawca obwodu 79

przedstawił Komisji Oceny Prawidłowości Odstrzału 15 wienców z czego 5, a więc ponad 30% stanowiło odstrzał nieprawidłowy. Dwa medalowe byki ustrzelili myśliwi na terenie obwodu 75 (KŁ „Łoś” Libiąż) oraz 113 (KŁ „Szarak” Kraków).

■ - pozyskanie niezgodne z zasadami selekcji, ocenione na punkt czerwony

Medalowe wieniec byków upolowanych na terenie okręgu krakowskiego w sezonie 2021/22

medal srebrny

L.p.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek byka	Masa trofeum (kg)	Forma poroża	Ostateczna wycena CIC (pkt.)
1	Ożóg Jarosław	114	11	8,49	14NOK	203,76
2	Lasoń Bronisław	80	12	6,90	12ROK	198,40
3	Wandas Jerzy	113	11	7,77	14ROK	195,23
4	Wajdzik Marek	68	11	7,21	18ROK	193,66
5	Turakiewicz Robert	109	11	6,73	18ROK	192,85
6	Ziębiński Bogusław	75	11	7,57	16NOK	191,25

medal brązowy

L.p.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek byka	Masa trofeum (kg)	Forma poroża	Ostateczna wycena CIC (pkt.)
1	Kuś Artur	167	12	6,91	14NOK	188,28
2	Węgrzyn Leszek	92	11	6,45	14ROK	185,01
3	Kapcia Marek	78	8	7,12	12NJK	184,98
4	Mąsior Paweł	79	9	6,50	M	180,11
5	Stańczyk Tomasz	75	11	5,34	14ROK	178,90
6	Bogusławski Władysław	79	5	6,90	12ROK	176,90
7	Porszke Krzysztof	95	7	6,14	10NJK	175,82
8	Borkowski Eugeniusz	79	5	5,47	12ROK	171,76
9	Malec Marek	113	6	6,10	10RNK	171,30

Podobnie, jak w poprzednim sezonie, medalowe muflony tryki zostały odstrzelone na terenie obwodu 58 dzierżawionego

przez KŁ „Słonka” w Trzebini. Wszystkie odstrzelone osobniki okazały się nosić złotomedalowe ślimy.

Medalowe ślimy muflonów tryków upolowanych na terenie okręgu krakowskiego w sezonie 2021/22

Lp.	Imię i nazwisko myśliwego	Numer obwodu	Średnia długość rogów [cm]	Punkty CIC	Medal
1	Wojtas Maciej	58	89,5	223,40	złoty
2	Lużyński Marek	58	89,3	221,10	złoty
3	Stasiowski Przemysław	58	87,3	220,45	złoty
4	Jasielski Maciej	58	80,9	206,50	złoty

Kolejnego dnia pracy Komisja, po wnikliwej analizie, w oparciu o kryteria wyceny medalowej CIC, przyznała parostkom rogaczy 16 medali złotych, 39 medali srebrnych oraz 36 medali brązowych. W porównaniu do sezonu 2020/2021 pozyskanie spadło o ponad 20 sztuk, a udział kozłów medalowych wśród odstrzelonych osobników spadł z poziomu 9,3% (97 medali) odnotowanego w sezonie 2020/2021 do poziomu 8,9% (91 medali).

Jak widzimy od 2 sezonów utrzymuje się trend spadkowy procentowego udziału kozłów medalowych, jednakże czy jest to pokłosie „złagodzenia” zasad selekcji rogaczy czy wpływ pandemii COVID-19, której skutki mogły się odbić na ogólnej liczbie pozyskanych kozłów odpowiemy sobie obserwując pozyskanie w kolejnych sezonach.

Najwyższą liczbę punktów (168,40) uzyskały parostki kozła upolowanego na terenie obwodu 27 (KŁ „Szarak” Skała) przez myśliwego dewizowego (Jansen Peter Dam).

W minionym sezonie najwięcej medalowych rogaczy (9) pozyskano na terenie obwodu 35 – dzierżawionego przez KŁ „Knieja” Kraków (3x złoto, 2x srebro, 4x brąz). Osiem medalowych osobników ustrzelili myśliwi na terenie obwodu 112 - KŁ „Ponowa” Myślenice (2x złoto, 3x srebro, 3x brąz), 4 „imponujące” rogacze pozyskano w obwodzie 110 – KŁ „Raba” Gdów.

Najwięcej medalowych kozłów w ubiegłym sezonie św. Hubert „podarował” kol. Stanisławowi Gąsienicy, który pozyskał w sumie 5 medalowych rogaczy. Spośród nich 3 otrzymały medal srebrny a 2 brązowy. Do zaszczytnego grona „łowców trofeów medalowych” należy zaliczyć również kolegów: Władysława Ziębińskiego, który odstrzelił 3 medalowe osobniki (1Z; 2S), Mariana Furczonia (1S; 2B), Jerzego Chmiela (1Z, 1B), oraz Marka Chorobika (1Z, 1S).

 - pozyskanie niezgodne z zasadami selekcji, ocenione na punkt czerwony

Medalowe parostki kozłów upolowanych na terenie okręgu krakowskiego w sezonie 2021/22

Złotomedalowe parostki

L.P.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek rogacza	Masa trofeum (g)	Forma parostków	Wstępna wycena CIC (pkt.)
1	Jansen Peter Dam	27	6	735	6R	168,40
2	Ziębiński Władysław	25	3	621	M	165,22
3	Kuśnierz Henryk	70	3	665	M	152,60
4	Borkowski Krzysztof	31	3	628	6R	149,63
5	Konopka Małgorzata	24	5	638	M	147,00
6	Chmiel Jerzy	35	4	597	WR	142,20
7	Grochowny Marian	36	9	620	6R	141,00
8	Świętek Wiktor	35	5	646	WN	140,73
9	Stachura Waldemar	31	4	632	M	139,33
10	Szuba Marek	49	4	584	6R	139,23
11	Sadowski Grzegorz	114	5	570	M	138,93
12	Jagielnik Marek	49	6	617	6R	138,13
13	Nowak Łukasz	35	7	575	6R	137,78
14	Cholewa Józef	112	6	575	M	136,13
15	Kubik Jacek	168	5	586	M	135,38
16	Chorobik Marek	112	4	552	6N	133,38

Srebrnomedalowe parostki

L.P.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek rogacza	Masa trofeum (g)	Forma parostków	Ostateczna wycena CIC (pkt.)
1	Gąsienica Stanisław	110	4	562	6N	129,35
2	Jagielnik Roman	49	6	565	6R	129,28
3	Karp Maciej	72	4	537	6N	128,95
4	Korzonek Zbigniew	27	6	578	6R	128,68
5	Buraczek Marek	165	3	536	6N	127,65
6	Chorobik Marek	112	6	527	6R	126,35
7	Mazur Jan	140	3	524	M	125,43
8	Gołąb Tomasz	33	6	513	6R	125,13
9	Janik Marcin	114	4	501	6N	123,43
10	Furczon Jan Marian	36	6	523	6R	123,23
11	Karcz Marian	140	7	540	M	122,93
12	Pękala Bronisław	70	6	508	6R	122,65
13	Suder Edward	112	4	487	WR	122,25
14	Ziębiński Władysław	15	5	520	6N	122,18
15	Batko Maciej	35	4	520	6N	121,63
16	Kuś Jan	92	3	555	M	120,80
17	Kumala Janusz	55	5	533	M	120,45
18	Odrzywałek Tomasz	111	6	496	M	120,25
19	Wilitowski Wojciech	109	3	522	M	119,73
20	Stachura Krzysztof	31	6	473	6R	119,65
21	Bukowiec Mariusz	109	3	494	6N	119,38
22	Pudełek Maciej	53	5	515	M	119,15
23	Piasecki Dariusz	92	4	529	M	118,75
24	Łękas Mariusz	51	3	451	M	117,83
25	Pałasz Wojciech	76	3	534	M	117,33
26	Pawlikowski Sławomir	27	5	521	6N	117,00
27	Jaworski Andrzej	50	6	510	6R	117,00
28	Pudełek Maciej	53	6	485	6R	116,58
29	Górka Andrzej	140	5	464	M	116,15
30	Koterba Kazimierz	25	3	493	M	115,75
31	Janik Marcin	114	4	501	M	115,55
32	Rachwałik Piotr	94	3	513	6N	115,50
33	Dybich Jan	69	6	510	6N	115,43
34	Gąsienica Stanisław	112	6	519	6R	115,35
35	Gąsienica Stanisław	93	6	446	6R	115,15
36	Figura Władysław	110	4	515	WR	115,13
37	Ziębiński Władysław	25	5	519	WR	115,10
38	Kłonica Piotr	35	4	556	6N	115,08
39	Gołąb Tomasz	33	4	514	M	115,03

Brązowomedalowe parostki

L.P.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek rogacza	Masa trofeum (g)	Forma parostków	Ostateczna wycena CIC (pkt.)
1	Maciejewski Jerzy	70	5	522	6N	113,20
2	Machara Grzegorz	23	6	506	6R	112,80
3	Kurowski Roman	94	6	531	M	112,73
4	Gąsienica Stanisław	93	6	440	WR	112,70
5	Chmiel Adam	69	4	534	M	112,50
6	Furczoń Jan Marian	35	8	446	M	112,35
7	Małota Józef	95	7	452	6R	112,33
8	Gąsiorek Mirosław	37	9	488	6N	112,30
9	Gładysz Franciszek	52	4	499	6N	111,33
10	Dudzik Mateusz	139	4	531	M	111,28
11	Gębala Marcin	73	6	475	6N	110,83
12	Kwiatkowski Adam	50	4	460	M	109,93
13	Gąsienica Stanisław	110	4	477	M	109,78
14	Bąchor Piotr	142	6	447	6R	109,50
15	Wielgus Wiśław	112	6	448	6R	109,23
16	Maślanka Bogusław	113	3	469	M	109,05
17	Strojny Karol	110	4	450	WR	108,78
18	Chmiel Jerzy	35	5	506	6N	108,55
19	Zawadzki Mariusz	113	4	473	WR	108,18
20	Machara Grzegorz	23	7	495	M	107,95
21	Ciąpała Paweł	111	6	430	6R	107,45
22	Pasternak Jan	112	6	453	6R	107,40
23	Patola Andrzej	31	4	465	M	107,23
24	Kłonica Piotr	35	4	519	6N	107,20
25	Wielgus Wiesław	112	4	490	WN	106,85
26	Mieszko Ćwiertnia	93	6	458	6R	106,75
27	Bisping Adam Benedykt	33	6	472	6R	106,45
28	Kurowski Roman	94	6	499	WR	106,45
29	Dobrzyńska Lankosz Ewa	31	6	448	6R	106,40
30	Stypa Tomasz	69	6	477	6N	106,25
31	Łękas Mariusz	51	4	466	WR	105,95
32	Furczoń Jan Marian	35	4	473	6N	105,53
33	Karaś Wacław	95	6	499	M	105,23
34	Kołodziej Tomasz	54	6	460	M	105,18
35	Kołodziej Tomasz	77	5	448	M	105,08
36	Brzychczy Andrzej	54	5	481	M	105,05

Komisja wyceniła również 2 łopaty danieli i w obu przypadkach trofea otrzymały złote medale. Okazałego daniela wyceniono na 190,85 pkt. CIC na terenie obwodu 111, (KŁ „Głuszc” Kraków) pozyskał kolega Jerzy Wandas, a kolega Marek Wajdzik odstrzelił na terenie okręgu poznańskiego (Puszcza Zielonka) byka, który uzyskał 191,05 pkt.

Komisja wyceniła również 6 dziczych oręży, przyznano 2 medale srebrne (obwód 113 oraz 36) i 1 brązowy (obwód 35).

Nie mogło zabraknąć również czaszek drapieżników. Na 5 wycenionych lisów pozyskanych w okręgu krakowskim medale przyznano czterem. Złotomedalowego „rudzielca” pozyskał w obwodzie 140 dzierzawionym przez KŁ „Jarząbek” Kraków kolega Andrzej Górka. Spośród 3 borsucznych czaszek przedstawionych do wyceny 2 otrzymały medal srebrny, a „złotego” borsuka pozyskał kolega Łukasz Nowak.



Mateusz Dudzik

Łowczy K.Ł. „Grodzisko” w Raciechowicach, Członek Komisji Oceny Prawdliwości Odstrzału, Członek Komisji Wyceny Trofeów Łowieckich, Członek Zespołu ds. Kół Łowieckich.

MEDALE I ODZNAKI ŁOWIECKIE
HUBERT ZWINCZAK
 tel. 693 40 50 80



MEDAL TROFEUM MAŁOPOLSKIE

W 2005 roku, ramach działań Małopolskiego Sejmiku Łowieckiego, z inicjatywy jej przewodniczącego Jana Ptaka, powstał pomysł ustanowienia medalu trofeistycznego, który w założeniu miał być naszym, stricte małopolskim odznaczeniem, a obejmować miał swym zasięgiem trzy okręgi łowieckie: krakowski, nowosądecki i tarnowski. Nosi on nazwę Trofeum Małopolskie PZŁ i przyznawany jest myśliwym, którzy upolowali medalową zwierzynę na terenie Małopolski. W latach późniejszych formułę tę poszerzono o tych myśliwych z Małopolski, którzy upolowali medalowe osobniki poza wspomnianym rejonem. Jednocześnie miał on być uzupełnieniem, a nie konkurencją dla odznaczeń ogólnopolskich. Inicjatywa ta była wynikiem przekonania o istotnej wartości i potrzebie pielęgnacji kultury materialnej i duchowej łowiectwa – tak w zakresie historycznym, jak i współczesnym. Propozycję wykonania projektu, a później medalu, złożył mi Jan Ptak, co było dodatkowym bodźcem, aby rzecz traktować z całą powagą – w końcu dociekliwość i fachowość Wojtka w kwestiach trofeistycznych jest wręcz legendarna, a jego spory w gronie fachowców od wycen funkcjonują już w formie barwnych anegdot. Arbitrem w ewentualnych sporach miał być Janusz Malawski – ówczesny łowczy wojewódzki, wybitny znawca karpackich byków (szczególnie tych powyżej dziesięciu kilo) i znakomity ich wabiarz. Mówiono o nim, że w okresie rykowiska z każdym z nich jest „na ty”. Trudno więc się dziwić, że do pracy brałem się tyleż z entuzjazmem, co pewną treścią.



Pierwszą rzeczą, którą należało rozstrzygnąć, była koncepcja ukazania idei trofeum. Uważałem, iż ładnie wygląda wieniec byka na ścianie, jeszcze ładniej nad kominkiem, ale najładniej prezentuje się ryczący byk w lesie. Wszak idea trofeum niesie w sobie, poza manifestacją szacunku dla ubitej zwierzyny, również chęć zatrzymania chwili łowów, materializacji wspomnienia w formie jednak szczątkowej, wobec bogactwa przeżyć i emocji łowieckich. A zatem nie poroże, a cały byk, nie oręż, a odyniec w pełnej krasie. Po przejrzeniu wielu szkiców i koncepcji, stanęło na trzech gatunkach: jeleń, sarna i dzik – uznaliśmy, iż są najbardziej reprezentatywne dla trofeistyki, no i zdecydowanie najczęściej spotykane. O ile w kwestiach artystycznych, tzn formy, kompozycji itd., miałem wolną rękę, to już przy rzeźbieniu poszczególnych zwierząt często korzystałem z rad moich „opiekunów”. I tak Janusz kategorycznie zażądał „odchudzenia” byka – „bo on w rykowisko spadły, że wszystkie żebra na nim widać”, więc w myśl zasady „mówisz – masz”, wyszczupliłem go stosownie. Z kolei Wojtek tłumaczył mi zawiłości anatomii dziczej szczęki, ze szczególnym uwzględnieniem nachodzenia na siebie szabl i fajek. Również kozioł pod jego okiem, z mizernego szóstaka, wyrósł na medalowego capa i tylko brak miejsca na medalu pozbawił go rekordu świata. Gdy, pomimo tych światłych uwag, okazywałem się uczniem nie dość bystrym i nadal targały mną wątpliwości, pomocą był Władek Ziębiński, wyciągający z przepastnych czeluści swej preparatorni kozły o parostkach „od Nienadowej wzwyz”

i odyńce o orężu z myśliwskich snów.

Moment, gdy obaj panowie byli w końcu zadowoleni z moich działań, zaliczam do najpiękniejszych w mojej karierze medaliera. Teraz już tylko zostało przeniesienie modelu na kilkunrotnie mniejszą matrycę, zahartowanie jej i medal może iść do produkcji!

Bity jest w trzech odmianach, złotej, srebrnej i brązowej. Rewers ma gładki, tak aby można na nim wyryć datę, rewir łowiecki i nazwisko myśliwego.

Jednocześnie z medalem wręczany jest szczęśliwemu łowcy stosowny certyfikat, stanowiący wraz z nim całość. Znajdują się na nim informacje dotyczące danego trofeum, a więc punktacja, miejsce zdobycia, etc. Certyfikaty są zróżnicowane pod względem gatunków zwierzyny, co dało możliwość uhonorowania pominiętych na medalu drapieżników w dwóch odmianach: drapieżników dużych – niedźwiedź, wilk, ryś i małych – lis i borsuk. Mają swój certyfikat kozica i muflon, daniel, a nawet bóbr.

Po około dwudziestu latach medal na stałe wrósł w pejzaż małopolskiego łowiectwa i sądzę, że dobrze spełnia zadania, które przyświecały jego powstawaniu. Wprowadza dobrze rozumianą konkurencyjność w nasze łowieckie zmagania oraz przywraca należną rangę tym gatunkom, które wskutek zawirowań ekonomiczno-przyrodniczych spadły do jakże niezastępowanej i krzywdzącej roli „chwastu”, pośród gatunków użytkowanych łowiecko.

O pracy nad medalem myślę z uśmiechem, ale i zadumą nad przemijaniem – jest okazją do wspomnienia jej współtwórców, również tych, którzy już odeszli.



Hubert Zwinczak
artysta grafik,
myśliwy



O niezwykłym bohaterze

Leonie Krzczunowiczu

Waldemar Smolski



W byłej siedzibie Gestapo przy ul. Pomorskiej 2 w Krakowie na ścianie jednej z cel więziennych znajdujemy wyryty napis – Krzczunowicz. Ten napis, w postaci wyrytego swojego nazwiska, pozostawił bohater tego artykułu Leon Krzczunowicz, działający w polskim podziemiu w czasie drugiej wojny światowej pod pseudonimem "Roland" i „Ekspress”. W pierwszym półroczu 1944 r. Leon Krzczunowicz przekazał wywiadowi AK meldunek o wyrzuceniu rakiet V1 i V2 ukrytych w lasach tarnobrzeskich. Pomimo głębokiej konspiracji Krzczunowicz został rozpracowany przez krakowskie Gestapo. Do jego aresztowania doszło w dniu wybuchu Powstania Warszawskiego, 1 sierpnia 1944 r., na rogatek Krakowa, kiedy jechał do Sieciechowic. „Roland”

najprawdopodobniej stał się ofiarą „wsypy” w krakowskim środowisku konspiracyjnym w lecie 1944 r. Do 6 sierpnia był przetrzymywany w areszcie Gestapo przy Pomorskiej, a następnie do połowy grudnia 1944 r. przetrzymywano go w więzieniu Montelupich w Krakowie, gdzie był wielokrotnie przesłuchiwany i torturowany. Od momentu zatrzymania Krzczunowicza przez Gestapo rozpoczęły się usilne starania polskich konspiratorów o wykupienie go albo odbicie. Niestety, Niemcy nie dopuścili do realizacji tego zamiaru, ponieważ znali wartość więźnia. W połowie grudnia 1944 r. został on przewieziony do obozu zagłady w Gross-Rosen (nr obozowy 89300). Tuż przed jego przewiezieniem, 13 grudnia, ostatni raz widziała się z Leonem jego żona Wanda Krzczunowicz. Jak wspomina, spotkanie miało nieoczekiwany przebieg: zaczął się nalot na Kraków, zawyły syreny i spędzono nas do piwnic. Dzięki temu mogliśmy dosyć swobodnie rozmawiać, bo żołnierz, który miał nas pilnować, wydaje się

umyślnie zostawił nas samych i tylko stał za zamkniętymi drzwiami, daleko od nas. Od stycznia 1945 roku Leon Krzczunowicz znajdował się w obozie koncentracyjnym Dora w Turynii. Tam urywa się ślad. Dopiero po trzech latach od zakończenia wojny Polski Czerwony Krzyż wydał lakoniczny komunikat: zawiadamiamy, że w ewidencji strat wojennych prowadzonej przez Biuro Informacyjne Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie figuruje: Krzczunowicz Leon ur. 7.IX.1901 r., który przebywał w KL Dora nr. 112328, gdzie zmarł dnia 19 marca 1945 r. Łączymy wyrazy szczerego współczucia. Prawdopodobnie Krzczunowicz został zamordowany przez Niemców podczas likwidacji obozu. Za swe bohaterskie czyny został odznaczony Złotym Krzyżem z Mieczami, nadanym 11 listopada 1943 r. przez dowódcę AK, gen. Tadeusza Bora Komorowskiego oraz pośmiertnie Krzyżem Wirtuti Militarii V klasy, nadanym przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Augusta Zaleskiego 26 lipca 1947 r. w Londynie. Był to hołd dla człowieka, który na ołtarzu Ojczyzny złożył swe życie.

Kim był Leon Krzczunowicz? Urodził się 7 września 1901 roku w Jaryczowie niedaleko Lwowa. Był synem Waleriana, Ormianina z pochodzenia, i Ilony Fricke de Sövenyhaza, Węgierki, córki zamożnego ziemianina spod Győr. Leon miał jeszcze czworo rodzeństwa: siostry – Marię (1895-1945), Izabellę (1897-1957) i Helenę (1903-1984) oraz brata Jerzego (1907-1992). Jaryczów, w którym urodził się Leon, był małym miasteczkiem, położonym 24 km na północny-wschód od Lwowa, bogatym w przeszłość historyczną. Miasteczko było zamieszkane przez Polaków, Rusinów i Żydów, którzy zgodnie ze sobą współistnieli, mimo różnic narodowościowych i religijnych. W miasteczku były trzy świątynie: kościół katolicki, cerkiew unicka i synagoga żydowska. O Leonie z czasów jego młodości wiemy tylko



Państwo Krzczunowiczowie w dniu ślubu przed dworem w Jaryczowie

tylko, że do 1914 roku uczył się w domu. Podczas egzaminu wstępnego do szkoły, gdy kazano mu odśpiewać austriacki hymn narodowy, odmówił. Ale że były to czasy odwilży politycznej w ówczesnej Galicji i Lodomerii, nie przeszkodziło mu to w przyjęciu do szkoły. I tu moja opowieść o Leonie Krzczunowiczu momentami będzie przypominała obecną sytuację na Ukrainie. W pierwszych tygodniach po wybuchu pierwszej wojny światowej w Jaryczowie stacjonował oddział wojsk austriackich (I Wojna Światowa wybuchła dokładnie 28 lipca 1914 r.). W trzy tygodnie po rozpoczęciu działań wojennych Rosjanie byli już pod Lwowem. Krzczunowiczowie wraz z dziećmi udali się do Wiednia, bo chwilowo nawet Kraków wydawał się zagrożony. W Wiedniu Leon uczęszczał do polskiego gimnazjum, co pozwoliło mu nie stracić roku. Po roku Krzczunowiczowie powrócili do Jaryczowa, gdzie zastali tylko zgliszcza. Rosjanie spalili dwór wraz z cennymi zbiorami, bibliotekę oraz wiele domów i zabudowań gospodarczych w miasteczku. Ojciec Leona, widząc takie zniszczenia, postanowił do czasu ich odbudowy zamieszkać we Lwowie. Mieszkali przy ul. Matejki pod nr 8 położonym przy parku Jezuitów. We wrześniu 1918 r. siedemnastoletni Leon rozpoczął ósmą klasę gimnazjalną, a gdy w nocy z 31 października na 1 listopada 1918 r. wojska nacjonalistów ukraińskich zajęły Lwów

i większą część wschodniej Galicji wstąpił, w tajemnicy przed ojcem, do szeregów Orląt Lwowskich. Leon walczył na najtrudniejszych odcinkach, między innymi w gmachu Poczty Głównej. Wkrótce został przeniesiony do szwadronu karabinów maszynowych nazywanego Wilkami Lwowskimi z powodu noszonej przez nich na czapkach główki wilka. Z czasów obrony Lwowa pochodzi opowieść o wydarzeniu, które o mało co nie kosztowało Leona życie. Oto ono: w sąsiedztwie jego oddziału znajdował się oddział dziewcząt, które długo wytrzymywały ataki, lecz w końcu zaczęły ustępować. Komendant Leona wezwał go do siebie, dając następujące polecenie: „Idź i powiedz tym panienkom, żeby wytrzymały jeszcze pół godziny, a potem mogą sobie pójść do cholery...” Leon, jak zawsze skory do żartów, zameldował się u komendantki. Sam tak tę historię opowiadał: „Wszedłem do namiotu, a tam widzę, grubą babę, pani pułkownik”. Zamiast zasalutować, przybrał minę uczniaka, szurnął nogami i komicznym ruchem zdjął czapkę, mówiąc: „Całuję rączki pani dobrodziejki, pan komendant kazał powiedzieć, żeby panienki wytrzymały jeszcze pół godziny, a potem mogą iść do cholery”. Na to pani pułkownik wpadła w straszę złość, a panienki z karabinami w ręku aresztowały Leona. Wniosła skargę do sądu polowego o „znieważenie władzy w obliczu wroga” za co groziło rozstrzelanie. Gdy wiadomość do niego doszła zorientował się, że sprawy przybrały zły obrót i postanowił rozśmieszyć sędziów. Udając „batiara”, który chciał tylko być bardzo uprzejmy wobec pań, tonem i mimiką tak rozbawił sędziów, że wybuchnęli śmiechem i sędziom było niezręcznie skazywać na śmierć niewinnego, choć swawolnego, wyrostka. Sprawa została załagodzona. Po trzech tygodniach walk nadeszła odsiecz i Lwów został oswobodzony. Pod koniec 1918 roku Leon Krzeczunowicz wstąpił do tworzącego się w Krakowie na Rakowicach 1 Pułku Ułanów Ziemi Krakowskiej, a przydzielony mu koń wierzchowy nosił imię „Roland”, co w przyszłości wpłynęło na przyjęcie przez Leona pseudonimu konspiracyjnego.

Leon brał udział w wielu szarżach przeciwko armii bolszewickiej, m.in. w zajęciu stacji kolejowej w Maniewiczach, podczas której został ciężko ranny. Miał przestrzelone

lewe ramię i groziła mu amputacja, ale się na nią nie zgodził. Komisja wojskowa zwolniła go ze służby i odesłała do domu. Po operacjach i długich zabiegach ramię zaczęło normalnie funkcjonować z wyjątkiem dłoni z częściowym niedowładem palców. Przez długie lata Leon cierpiał na częste i dokuczliwe nerwobóle, lecz w końcu mógł już w prawej ręce zaciskać wodze trzymane w lewej ręce i to pozwalało mu jeździć konno. Uczęszczał do Gimnazjum Petelenza we Lwowie, gdzie zdał tak zwaną „maturę wojenną”, a następnie dostał się na Wyższe Kursy Ziemiańskie Stefana Turnaua w Dublanach. Po ukończeniu kursu, z pomocą siostry i ojca rozpoczął pracę nad odbudową i rozwojem rodzinnego majątku w Jaryczowie. Doceniony przez mieszkańców gminy za swoją aktywność społeczną tuż przed wybuchem II wojny światowej został wybrany na wójta. Ponadto należał do Związku Ziemian, a od 5 marca 1938 r. był jednym z trzech wiceprezesów Wschodnio-Małopolskiego Związku Ziemian we Lwowie. Rozwijala się jego pasja związana z końmi, jeździectwem i polowaniem. Udział w licznych konkursach ujeżdżenia, a także w skokach i biegach myśliwskich oraz polowaniach pochłaniały go całkowicie. W roku 1930 na



Wanda i Leon w saloniku w Jaryczowie

ujeżdżalni Sokoła we Lwowie poznał piękną córkę sąsiadów, świetną amazonkę, Wandę Czaykowską. Ślub odbył się w majątku Czaykowskich w Kamionce Wołowskiej 8 stycznia 1931 roku. Młode małżeństwo zamieszkało w leśniczówce w Jaryczowie i tam spędziło pierwsze trzy lata. Dopiero w 1933 r. Krzeczunowiczowie przeprowadzili się do odbudowanego dworu. Przed wybuchem II wojny, w 1934 r., urodziła im się córeczka Ilona, a w 1944 r. syn Kornel Jerzy. Leon Krzeczunowicz był myśliwym. W majątku w Jaryczowie pod Lwowem, organizował świetnie prowadzone polowania, podczas których gęsto padały rogacze, lisy i zające. Jak mogłem przeczytać w sprawozdaniu z polowania, zamieszczonym w „Łowcu” z roku 1931, jednego dnia 11 myśliwych pozyskało 191 zajęcy. Sam z początkiem swojej przygody z myślistwem miał problemy z trafianiem do celu, a przyczyną tego była odniesiona w czasie wojny kontuzja ramienia i dłoni. Tak Leon opowiadał o początkach polowania na bażanty: Naganka pędziła jakiś zarośnięty wikliną teren, który poprzecinany był duktami. Na nich stali myśliwi. Po raz pierwszy strzelałem do bażantów i często pudłowałem. Zaś mój wuj, Emil, który stał na sąsiednim stanowisku z małego sztucerką kulami zestrzeliwał chybione przeze mnie koguty. Wuj był nieprzeciętnym strzelcem. W „Łowcu” dość często publikowane były sprawozdania z tych polowań. Oto jedno z nich, z polowania wigilijnego z roku 1938: „Podczas kolejnego pędzenia wyszły dwa lisy o 44 kroki od pani Wandy Krzeczunowiczowej,



Przed dworem w Jaryczowie - z końmi Wanda Krzeczunowicz. Lata 30 ub.w.

która jako doświadczony myśliwy (ma na sumieniu dzika i 70 lisów) odczekała, aż zrównały się ich głowy i położyła je razem na oczach zdumionych sąsiadów”. W roku Leon Krzeczunowicz został członkiem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, a od stycznia 1938 r. do września 1939 r. był członkiem Wydziału (Zarządu) Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego. Z ramienia Polskiego Związku Łowieckiego od 1937 r. był delegatem i łowczym na powiat Lwów. Leon Krzeczunowicz lubił pokonywać trudności. Drażniło go, gdy ktoś przedstawiał jakąś rzecz jako niewykonalną. W takich wypadkach proponował często zakład, że sam tej rzeczy dokona. Wielokrotnie dowiódł tego w sposób efektowny, jak świadczą przykłady, o których jego żona opowiadała: „Leon nigdy nie bał się



przegrać i nie wstydził się przyznać, że przegrał. Najczęściej sam się z siebie naśmiewał. Lubiał ryzyko. Co do pasji Leona do zakładów, to zapamiętałam szczególnie jeden”,

Polowanie w Jaryczowie, jesień 1937 r. Na pierwszym planie Wanda Krzeczunowicz, a z tyłu po lewej stronie stoi Leon



Zima 1943 r. - Za dworem w Sieciechowicach stoi Leon Krzczunowicz

opowiadała Wanda, a był to zakład z narciarzem: „Leon nigdy nie interesował się specjalnie narciarstwem i nie miał ... żadnych w tym kierunku ambicji. Ale czasem lubił sobie pojechać na nartach. Kiedyś jeżdżąc w pobliżu skoczni narciarskiej spotkał rutynowanego narciarza, którego zapytał, czy to trudno skakać? Ten widząc, że Leon nie ma wielkiego pojęcia, o narciarstwie, odpowiedział mu żartem: „Niech pan spróbuje”. Nie przypuszczał, że Leon spróbuje i na propozycję Leona, żeby zrobili zakład, zgodził się, że jeżeli Leon rzeczywiście skoczy, to on pojedzie w stępie na koniu, którego mu Leon wyznaczy. I Leon skoczył. Nie wiedział nawet, że skacze się bez kijków, skoziółkował i potłukł się okropnie, ale jakimś cudem niczego sobie nie złamał i zakład wygrał. Za to biedny narciarz, zrejtrował, nie dotrzymał zakładu..., a Leon już zacierał ręce: „Posadzę tego łobuza w stępie na „Jaśka” (narowisty to był koń) za to, że mi nie powiedział, że skacze się bez kijków”.

Idylla jaryczowska skończyła się 1 września

1939 r. Leon zgłosił się do wojska na ochotnika. Nie przyjęto go z dwóch powodów: był wójtem, więc powinien zostać w gminie, a po wtóre miał w książeczce wojskowej adnotację „nie zdolny do służby wojskowej ze względu na uszkodzenie ręki”. Najgorsze zaczęło się 17 września, gdy Armia Czerwona wkroczyła na ziemię polskie. Żołnierze sowieccy aresztowali Leona i chcieli go rozstrzelać, stał już nawet pod murem. Ocaliła go pełna życzliwości postawa miejscowej ludności, którzy stanęli w jego obronie. Zdołał przedostać się do Generalnej Guberni, do Krakowa, gdzie udało mu się ściągnąć również rodzinę. Włączył się w działalność Związku Walki Zbrojnej. Nawiązał współpracę z dowódcą okręgu krakowskiego, gen. Tadeuszem Borem Komorowskim, niegdyś jego kolegą w sporcie jeździeckim. W 1941 r. przyjął propozycję objęcia w administrowanie majątkiem Stanisława Reya w podkrakowskich Sieciechowicach. Wówczas Sieciechowice były niewielkim folwarkiem pięknie położonym nad rzeczką

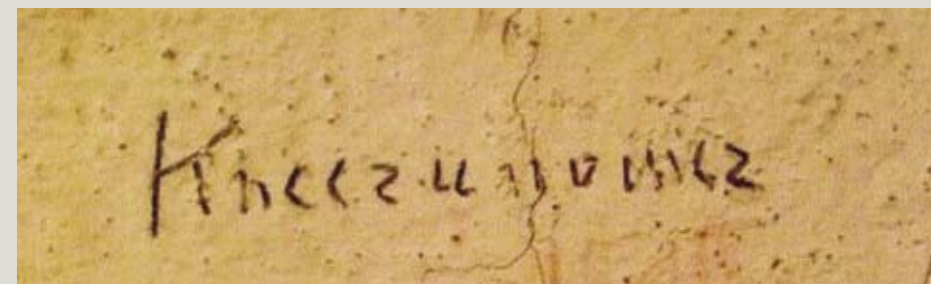
Dłubnią, między Słomnikami, a Skalą w wysokiej, bo położonej 350 m n.p.m. lessowej części powiatu miechowskiego. Z polecenia gen. Komorowskiego organizował konspiracyjną działalność ziemian i przemysłowców. Głównie chodziło o zabezpieczenie zaplecza, zbieranie funduszy na potrzeby podziemia, utrzymywanie stałej łączności z AK, dostarczania informacji z terenu oraz ukrywanie „spalonych” członków organizacji podziemnych. W 1943 roku Leon Krzczunowicz objął dowództwo oddziału AK „Uprawa” Okręgu Krakowskiego. Jedną z dziedzin, jaką „Uprawa” najlepiej rozwinęła, była akcja sanitarna. Polegała ona na szkoleniu sanitariuszek oraz gromadzeniu leków, opatrunków i narzędzi chirurgicznych. Zdołano nawet zorganizować sześć szpitali podziemnych w terenie. W trakcie tych działań konspiracyjnych wykazywał się nie tylko poświęceniem, ale też zdolnościami organizacyjnymi, dzięki czemu cieszył się dużym autorytetem.

Często w sytuacjach krytycznych potrafił zachować „zimną krew” co niejednokrotnie ratowało mu życie. Przytoczę tu pewne zdarzenie. Miało ono miejsce w Warszawie, dokąd Leon wyjechał na odprawę dowództwa AK. Było to wieczorem w okolicach placu Napoleona. Leon wyszedł z odprawy i zobaczył, że na placu szykuje się łapanka. Wszystkie wyloty ulic obstawione były patrolami SS. Przy jednym z dwuosobowych patroli stała esesmanka. Leon zwrócił się prosto w tę stronę i będąc blisko rzucił jakiś słony dowcip, a esesmankę klepnął po plecach. Wszyscy się roześmiali, a on spokojnie wyszedł z placu. W tym miejscu muszę zaznaczyć, że Leon świetnie mówił po niemiecku z bardzo dobrym akcentem.



Waldemar Smolski

inż. leśnik, dokumentalista łowiecki, znawca historii zorganizowanego łowiectwa na ziemiach polskich, autor książek, redaktor wielu artykułów z dziedziny łowieckiej. Wykładowca akademicki, lektor i wykładowca PZŁ z dziedziny kultura łowiecka.



NA TOKU

Tomasz Zan

ZIMA z 1934 na 35 rok była wyjątkowo uciążliwa, nie tak może mroźna i ostra, jak śnieżna; drogi wśród pól były zasypane, kopkie i wprost nieprzejezdne dla najlżejszych nawet saneczek, konie grzęzły i zapadały się po brzuchy. Jedyne dostępne szlaki dróg wiodły po zamrożonych jeziorach i skutych lodem moczarach. Sezon łowiecki zimowy był raczej zły. Zwierzyna nocą łaziła po drogach i przetartych szlakach, a w masach śnieżnego puchu, sypkiego i zawiewanego przez zadymki, tropienie było bardzo utrudnione. Do lasu wejść można było tylko na nartach myśliwskich, krótkich, szerokich, podbitych skórą z włosem od spodu. Natomiast wilki i lisy chadzały chętnie do padliny, ale nie każdy miał dość czasu i ochoty by po nocach marznąć na zasiadkach. Czekaliśmy wiosny! Na „prima-aprylis” nagle zrobiło się ciepło, powiały wiatry z południa, spadł deszcz, zagrzmiały - grzmoty i wszystko popłynęło! Termometr pokazywał kilkanaście stopni, słońce grzało jak latem! Głuszcze zaczęły „rysować”, cietrzewie „grać”, pokazały się klucze gęsi i żurawi. Dawno zaplanowałem sobie, że pojadę na tydzień na toki. Akurat

w połowie kwietnia wypadła Wielkanoc święto wiosny, radości i obżarstwa.

W widłach rzeki Wilji i Naroczy leżała puszcza o obszarze kilku dziesiątków tysięcy hektarów. Były tam ogromne lasy należące do Banku Ziemskiego, wielu okolicznych majątków i szeregu przyległych wsi, a także państwowe. Mało kto umiał rozeznaczyć się w pogmatwanych granicach i ustalić, kto i w jakich rewirach chodzi i poluje. Te wielkie przestrzenie leśne były mało zasobne w zwierzynę. Wśród licznych i rozległych podmokłych rojstów dominowały głuszcze i cietrzewie. Było ich naprawdę wiele. Niedostępność puszczy i względny spokój chroniły je i sprzyjały w rozmnożeniu. Osiedli i chutorów wśród leśnej głuszy było bardzo mało, wypasów bydła z hukającymi pastuszkami i szwendającymi się kundlami prawie nie było.

Bezkresne przestrzenie leśne, porośnięte w większości sosną, starą niebotyczną lub rzadkimi drągowinami, przetykanymi jałowcem, krzewami leszczyny, kruszyny czy wilczego łyka oraz świerkami na niższych

podmokłych partiach borów, no i bardzo liczną brzozą, rozsianą po całym terenie. Na wielu mszarach, rojstach i moczarach rosły karłowate sosenki i brzoźki z epoki polodowcowej oraz najrozmaitszych typów łoży, a na pięknych puszystych dywanach mchów gęsto się krzewiła pełzając żurawina, dorodne pijanice i bahun pospolity. Obrzeża tych wilgotnych przestrzeni obramowane były jagodnikami „czarnej jagody”, borówką i mącznicą zwaną „niedźwiedzią jagodą”. Były to miejsca lęgowe i bytowe w czasie letnio-jesiennym głuszcza i cietruków, zaś wczesną wiosną tereny toków.

Nagły wybuch wiosny i nadspodziewane ciepło zamieniło całą tę połąkę kraju w jeden płynący potok. Gdy wreszcie wysiadłem z pociągu, za kilka złotych zgodziłem wózek tzw. panarad, zaprężony w małego kudłatego konika, w uprzęży z „duhą”. Gospodarz, „dziadźka” w wyświechtanym kozuchu podpasanym „dziażką”, w starej wypłowiałej czapie baraniej, z długim „bizonem” w garści, był pełen dobroduszej uprzejmości, przyjaźnie zerkał na futerał ze strzelbą i chętnie się zgodził dowieźć mnie do rzeki do przeprawy. Całą drogę podbawiał rozmaitymi opowiastkami i upewniał, że prom działa, a lody już poszły... a cietruki tokują w wsiu! głuchari chamera ich wiedzieć? musi tokując jest ich mnoho razmnoho! widział jak drzewo woził z lasu w zimie, a ciapier nie baczył, bo główny las za rzeką, teraz zwózki nie ma, a tam droga drenna zgiń propadaj! Wilków w zimie było mnoho, ale pany ubić nie nadtoż umieli, ot pan Tolek dwóch zastrelił na Gromniczną tam jeszcze ktoś strelał nu nie wyszło?

Długośmy nad rzeką hukali na przeciwną stronę parom dawaj! aaa... Archip parom dawaj! wreszcie ukazał się (prawdopodobnie Archiph), wylał z chaty, popatrzył na nasz brzeg, podrapał się po głowie... i znów polazł do chaty. Mój „dziadźka” mógł już mnie zostawić ze strzelbą i walizką, bo swoje zadanie wykonał, czyli dowiózł na miejsce, ale widocznie uważał, że to „nie fason”, Kłął więc i wymyślał i z jakąś radosną pasją wołał ... dawaj parom! Wyszli wreszcie z chaty stary z chłopaczkiem, coś majstro-

wali przy długiej łodzi uwiązanej przy brzegu, koło starej i rosochatej wierzby i lekko i płynnie dobili do nas. Wtedy nastąpiła zażarta wymiana zdań, przetykana „ruhatielnymi słowami” pomiędzy woźnicą a przewoźnikiem. Jon ochotnik, jemu spiech do lasu! było zakończenie.

Woda wielka i wartka na rzece niosła nas z prądem i tylko dzięki dużej wprawie i silnym machaniom wiosł wylądowaliśmy w pobliżu krzywej wierzby. Względnie prędko ze wsi przyjechał szwagier przewoźnika i znów kudłatym zszerszeniałym konikiem pojechaliśmy po rozmokniętych bezdrożach. Całymi kilometrami brnęła szkapina przez zalane łąki i groble, wózek zanurzony po osie zdawało się płynąć, jak po jeziorze, najmniejsza pomyłka mogła spowodować wywrócenie wozu i dalibyśmy nurka z woźnicą, strzelbą i walizą.

W lesie, pod drzewami, leżały jeszcze zwały topniejącego śniegu, ale ciepło było, wiosennie i promiennie. Słońce już chyliło się ku zachodowi, zrobiło się zimno i przewiewnie. Z oddali widać było niesymetryczne zarysy tartaku Hanuckiego, baniaste kopuły cerkwi i rozrzucone budynki rozległej wioski. Po całodziennym pokonywaniu wertepów i zabagnionych bezdrożnych przestrzeni byliśmy na miejscu.

Dziwny był ten kraniec puszczy, ani jednego myśliwego, nikogo, kto by się interesował łowiectwem. Kłusowników zapewne było nie mało, ale się nie kwapili ujawniać. Mapy ani odrysu okolicznych lasów w tartaku nie było, a że raz pierwszy w tej okolicy się znalazłem, nie bardzo wiedziałem gdzie tokowisk szukać i gdzie iść, by w obcy teren się nie wpakować. Odpowiadali mi wszyscy zapytani jednako: a idź gdzie chcesz, wszędzie możesz, wszędzie wolno! Wreszcie znalazł się jakiś



stary ex-gajowy, rzekomo już nie polujący, ale znający każdy zakątek lasu i bagiennych przestrzeni, który tu się urodził, postarzał i „nosa” poza puszcę nie wytknął. On mnie na właściwy teren nakierował, wyjaśniając: ot, za wiorst 6, nu 7, jak koniec Hanuckiego lasu są mech, tak na 100 dziesięcin, jak miśka krągły. Tam głuchaczy ćma-ćmuszcza, oni tam takują! Z drugiej strony mchów las kazionny, a po prawej rance bankowy las tam chodzić nie warto, inne pany przyjeżdżają, a tak idź gdzie kcesz, gdzie ochota. Sam dziadek konia nie miał, ale uprzejmie przyobiecał, że mi panarad ze swoim kumem na poobiednio porę zprokuruje. Kum był wyjątkowo durny i nie rozgarnięty, jak mnie zaczął po lesie wozic na swojej szkapie, lichy wie gdzie, to gdyby nie moja orientacja kierunku, który mi „dziadek” wskazał, to byśmy do nocy nie trafili. Dopiero po zachodzie słońca, a mroźnik dobry na noc chwycił, dobrnęliśmy nad mszar.

To było prawdziwe чудо! Wielki, owalny rojst leżał w dolinie, a wkoło na wznoszących się pagórkach wysokie sosny. Cisza była i spokój. Pod stopami chrzęścił podmarznięty wrzos i mchy. Szara mgiełka unosiła się nad mszarem. Stałem jak zaczarowany! Na wschodzie pokazała się pierwsza gwiazda przewodnia, błądy księżyc świecił zimnymi promieniami, a w powietrzu trwał jakiś szum i harmider. Ze wszystkich stron sunęły pojedyncze sylwetki głuszców... Z łomotem siadały na sosnach, zganiając inne koguty, które przyleciały wcześniej. Krechtanie i łomot skrzydeł dochodził z różnych stron, gdzieś tam któryś „dawał pieśń”, parę kłaśnieć i cisza... Takiej koncentracji głuszców, nie tylko że nie widziałem nigdy, ale nawet sobie nie wyobrażałem. Jak podjeżdżaliśmy, to już pode-rwało się z drzew kilka kogutów; przemieszczały się, czy nas się spłoszyły?

Gdy stałem oparty o sosnę, słuchając i oglądając to przedziwne tokowisko, nadleciał jakiś spóźniony kogut i siadł na sąsiedniej sośnie o kilka kroków, „zakrechtał” kilka razy, łomotnął skrzydłami, przeskoczył na niższy konar sosny, wyciągnął i zadarł kilkakrotnie szyję, roztoczył wachlarz i... dał pieśń! - jedną, drugą... Usadził się

w poświęcie księżyc tak, że był widoczny jak na ekranie. Kiwał się tak jakoś do przodu, z rozpostartym wachlarzem, wyciągniętą szyją, wręcz zdawało mi się, że widzę ruszające się pióra na brodzie. Grał na całego, dawał pieśń po pieśni. Trzeba strzelać! Zsunąłem strzelbę, wymierzyłem, ciągnę za spust - twardy; z emocji zapomniałem o zabezpieczeniu. Strzeliłem, zwał się jak worek, aż huknął o mech.

Stałem nieruchomo. Cisza kompletna, aż w uszach dzwoni. Odczekałem jeszcze pół godziny, zrobiło się ciemno, podniosłem z mchu ustrzelonego koguta i cichutko (żeby nie płoszyć chodzeniem) wycofałem się do wózka, a konik człapiąc noga za nogą, zawiózł nas do domu.

Na dzień następny, po wczesnym obiedzie, wybrałem się na tokowisko. Chciałem zawczasu usadowić się nad mszarem, by lepiej się zorientować skąd koguty ciągną i jak rozmieszczają się na noc, a poza tym lepiej zapoznać z nieznanym terenem. Wieczorne zapady to było dla mnie misterium, wstęp do porannych toków! Jasne było, że toki się już rozpoczęły i trafiłem na tych pierwszych kilka dni kulminacyjnych, kiedy w budzącej się wiosennej przyrodzie ptaki wprost szaleją, roznamiętnione, walczące na zabój o samice-głucharki, bijąc się między sobą, przeganiając słabszych konkurentów z łomotem i hałasem aż „pierze leci”, by o brzasku jutrzeńki, przed świtem, nie bacząc na momenty własnej chwilowej „głuchoty” odśpiewać swą romantyczną pieśń miłosną, nie skomplikowaną w melodii, cichą a tajemniczą, brzmiącą jak kastaniety i szlif metalu o metal, z akcentem mocniejszym „korka”, który przypomina otwarcie butelki. Spiew-tok głuszcza słychać najdalej na 200 - 300 kroków i to w zależności od konfiguracji terenu i pozycji usadowienia się ptaka.

Jeszcze słońce było wysoko, gdy doszedłem do najwyższego ostrówka, skąd rozciągał się wprost bajeczny widok na dolinę wielki mszar i ciemną linię odległych borów. Widok uroczy... i słusznie myśliwi miejsce toków zwą „uroczyskiem”! Miałem czas, więc oblazilem okoliczne pagórki, porosłe piękną, złociejącą w promieniach

słońca sosną, brzoza i osiką. Pod drzewami zwały śniegu, które nie zdążyły roztajać, gdzieś pokreślone skrzydłami kogutów, takie charakterystyczne trzy ciągnięte krechy.

Usiadłem na pieńku pośród jałowców. Nad jakąś łączką w dolinie latały koziołkując i „becząc” bekasy, odezwał się drożdź śpiewak, przyjaciel myśliwego, zwiastun wiosny i łowieckich emo-

cji tego okresu. Złocista kula słońca skryła się już za seledynem liliowego horyzontu. Na nieboskłonnie ukazała się czarna plamka, która w niesamowicie szybkim tempie zaczęła rosnąć i zbliżać się do ostrówka, to pierwszy głuszc! Usiadł na czubku sosny, łomotał, przesiadał się i „krechtał” grubym głosem, nie miałem wątpliwości, że to stary „tokowik”, „dyrygent kapeli”. Z różnych stron „planowały” następne, siadały, krechtały, leciały następne, siadały gdzieś obok, za mną na sosnach przemieszczały się i łomotały... W bliskim sąsiedztwie swoim naliczyłem 34 koguty - takiej ilości nie widziałem nigdy dotąd! Na mszarze siadały „kury”, „głucharki” i młode „krechtuny”, ale te siedziały cicho. Jakież koguty z tyłu za mną „dały pieśń” - jak tu wyjść z tego kołowrotka, żeby nie rozgonić tokowiska? Według moich spostrzeżeń, koguty nie tak boją się strzału wieczorem, jak nie lubią trzeszczenia i chodzenia, to je płoszy i rozgania. Wycofać się trzeba, gdy już śpią, późno i jak najciszej.

Dobrze sobie zapamiętałem, gdzie ulokowały się stare, hałaśliwe koguty oraz całą „topografię tokowiska. Ciemno zrobiło się i czarno. Żeby trafić do mojego pnia, co nocą nie jest łatwe, zawiesiłem na jałowczyku białą chustkę do nosa. Wycofałem się



rys. Hubert Zwinczak

parę kilometrów w głąb lasu, naciąłem łapek świerkowych, rozpalilem ogienek, pociągnąłem zdrowo z pierśiówki i... tak przespałem noc.

Ważne jest, by rano przed tokiem być jak najbliżej miejsca, gdzie grają koguty. Pierwszym zwiastunem nadchodzącego dnia jest leśny skowronek. Jeszcze ciemno, a on wysoko na niebie dzwoni swoje trele. Gdy zbliżałem się do ostrówka, na ba-

gnie odezwały się żurawie, ich klangor oznajmiał, że zaraz koguty zagrają. Nie mogłem odnaleźć jałowca z chusteczką, czułem, że to tu, gdzieś blisko. Raptem posłyszałem - „dał głos” stary kogut, gra, zcichł i znów „pieśń”, tu drugi z boku, trzeci, następny... na pewno słyszę chyba dwa? Nic się połapać nie mogę. Iść „na wariata” nie można, wszystko rozgonię! I nagle zobaczyłem bielejącą chustkę, byłem przy jałowcach! Od razu wróciła pewność siebie i orientacja, ale co robić? Tyle ich gra, że pieśń zlewa się w jedno. „Kapelmistrza” strzelać nie należy, bo można tokowisko popsuć. Na lewo „osadziłem” starego koguta, tego by dostać, ale dwa czy trzy są po drodze... Skaczę do jednego - zamilkł, drugi... stoję - grają dwa, ale nie w „takt”. Raptem nad głową na sośnie łomot niesamowity - spłoszyłem tego trzeciego! Na chwilę zapanaowała cisza, ale znów idzie pieśń płynna i namiętna. Jakimś cudem wyminałem na szlaku koguty i na tle siwiejącego nieba widzę sosnę... słyszę gra! Na brzegu moczarów odzywają się głucharki, kwokczą, przyzywają amantów. Czasu nie ma, zaraz koguty zaczynają „spływać” na ziemię. Podskoczyłem pod sosnę, gdzie stary kogut gra, ale go nie widzę. Sosna dość rosochata; na czubku,

nie, w gałęziach... siedzi na najniższym konarze przy samym pniu, trochę pień go zakrywa, ale widzę szyję wyciągniętą lekko zadartą i pierś i tułów, opuszczone skrzydła, tylko wachlarz za pniem. I tu milknie. Co jest? Może to wab ciecioriek? Decyduję się strzelać! Z tyłu dwa koguty grają, składam się... Zagrał, zaszlifował, strzelam! Cisza... potem łomot. Jakies się poderwały... mój kogut łomotnął o wrzosa. Zaczyna świtać, koguty spływają na ziemię, widzę jak ganiają się, głucharki wabia, kwokczą, bijatki, łomotanina skrzydłami, zażarcie się tłuką. Te dwa, co grały z tyłu, z wielkim łomotem zrywają się i gdzieś lecą. Jeden przeszedł mi nad samą głową, zrobił się rejwach nie do opisanego!

Nie strzał zrobił to całe zamieszanie, to pora gdzie kończy się romantyczne preludium pieśni, a rozpoczyna się brutalne życie i namiętne chęć przedłużenia istnienia gatunku... Podniosłem koguta, był stary i ogromny! Podeszedłem paręset metrów dalej i stanąłem pod niską, rozgałęzioną sosną, delektując się pięknym porankiem. Koguty i kury latały, niektóre znów wracały na drzewa i grały. Opodał chodziła głucharka, udając komplet-

nie obojętną i beznamiętną, coś tam dziobała, zapewne przeszłoroczne jagody i tylko czasem przekrzywioną głową zerknęła ku górze, jakby chciała sprawdzić obecność kochanka. Nagle nad głową mi załomotało, na czubek sosny, pod którą stałem, spłynął głuszek, pomógł się trochę i... dał pieśń! Grał namiętnie, odskoczyłem dwa kroki, mało, odskoczyłem znów dwa, widzę, wtulony w czubek wśród igliwia, ostatni moment, trza strzelać bo odleci! Czubek i igliwie częściowo go osłoniło, po pierwszym strzale poderwał się jeszcze niezdarne...

Zrobił się piękny, jasny poranek, słońce wyskoczyło zza horyzontu, głuszcze gdzieś się zapodziały. czasem daleko przeleciał zapóźniony na swe dzienne ostoje, ciecioruki bełkotały na bagnie, kaczki i kaczo-ry pluskały się na wodzie, odbywając swe wiosenne gody, a tylko nieumęczone bekasy koziółkowały i buczały, na tle niebieskiego nieba. Obladowany dwoma ogromnymi kogutami poszedłem w kierunku domu, po drodze ustrzeliłem zielonogłowego. Po świętach byłem jeszcze raz na zapadach, ale już głuszców było znacznie mniej, „osadziłem” tylko 11. Rano na toku strzeliłem jednego, starego koguta.

Tomasz Zan

Przedruk z Łowca Polskiego, nr 7, 1975r.

WIERSTY

o. Leona Zdzisława Pokorskiego

Wędrownik

Znów wędrujemy
jaśminowym gajem,
leśną drogą
wśród drzew,
zrywając pąki
podarowane
przez życie
w bezkresie
zielonych liści myśli.

Zdobywać góry
tak pierwsze
i nieskażone
ludzką stopą,
wymiarom
bezkresnym
w zdobyciu siebie.

Miłość do stworzeń

Gdzie się podziałeś święty Franciszku,
po której teraz chodzisz drodze?
kazałeś niegdyś do ptaków,
nazywając ich braćmi i zachęcałeś
do chwaleń i wdzięczności Stwórcy.

Innym razem upominałeś jaskółki,
aby zamilkły i posłuchały kazania
razem ze zgromadzonymi ludźmi.

Cykada usiadła ci na ręce śpiewając,
pszczoły pracowite ulepiły w kubku
plaster miodu z wdzięczności,
owce beczą na pastwisku z tęsknoty,
bo nie ma ich kto pozdrowić,
wilk z Gubio oswojony przez ciebie,
łagodny jak baranek nawiedzany jest
nostalgia,
skowronki, które latały nad domem
w chwili twojej śmierci, do dziś dźwięczą
płaczliwą radością i radosnym płaczem,
a ja ubrany w brązowy habit, przytulam
braci mniejszych do siebie z miłością.



o. Leon Zdzisław Pokorski OFM
Franciszkanin, myśliwy,
kapelan K.Ł. "Diana" w Chrzanowie.
Poeta, prozaik, dziennikarz.
Jest członkiem krakowskiego
Bractwa Kurkowego.





Od redakcji

POMOC DLA UKRAINY

Myśliwi często angażowali się w różne akcje charytatywne, ale obecna sytuacja, wywołana napadami Rosji na Ukrainę, przerosła wszelkie ramy takiego działania. Niewyobrażalna brutalność agresora, zwłaszcza w stosunku do ludności cywilnej, tragedia wydarzeń i ogrom nieszczęścia jaki spotyka mieszkańców Ukrainy spowodował lawinę spontanicznej chęci niesienia pomocy ze strony praktycznie całego świata. Małopolscy myśliwi dołączyli do tej rzeszy ludzi dobrej woli. Poniżej przedstawiamy apel Zarządu Okręgowego w Krakowie:

Zarząd przekazał dary w postaci odzieży myśliwskiej, leków, opatrunków oraz batonów energetycznych.

Jest również reakcja ze strony pierwszych kół łowieckich naszego okręgu. Członkowie koła „Ponowa” w ramach akcji pomocowej zebrali kwotę 3000 zł, a zarząd koła dołożył kolejne 3000 zł z rezerwy budżetowej koła. Zostały zakupione: medykamenty, środki opatrunkowe, powerbanki oraz odzież taktyczna (buty, spodnie, rękawice, skarpety) za łączną kwotę 6000 zł. Koło łowieckie „Knieja” Kraków, w ramach pomocy dla uchodźców z Ukrainy, objęło opieką powstały na terenie gminy Michałowice, w miejscowości Zdzieszawice, ośrodek „Dolina stawu”. Przebywa tam około pięćdziesięciu osób, głównie kobiet i dzieci. Tam przekazywane są dary rzeczowe w postaci: opału, żywności, środków higieny, owoców, lekarstw, odzieży, obuwia i zabawek dla dzieci. Na pomoc dla Lwowa zakupiono i wysłano 1300 kg mąki i 125

litrów oleju. W dniu 08.03.2022 koło objęło patronatem drugi ośrodek dla uchodźców w Książu Wielkim k. Miechowa. Zakupiono między innymi 28 par obuwia dla dzieci z Ukrainy. Łącznie myśliwi, przy wsparciu rodzin i przyjaciół, wydatkowali na pomoc dla ofiar rosyjskiej agresji 14162 zł. Zarząd Okręgowy PZŁ w Krakowie wsparł działanie koła refundując zakup opału (993 zł) i oleju (892 zł). Przedstawione powyżej dane dotyczą początkowego okresu prowadzonej akcji i zapewne wielkość wsparcia ulegnie podwyższeniu w miarę rozwoju tak dobrze zapoczątkowanego przedsięwzięcia.



Roman Barbasz
Wieloletni członek komisji ds. promocji łowiectwa i kontaktów z mediami.
Prezes Tow. Myśliwskiego im. Św. Huberta w Krakowie.



POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI | ZARZĄD OKRĘGOWY W KRAKOWIE
ul. Żywiecka 12, 30-427 Kraków | tel.: +48 12 634 25 34 | www.pzlow.krakow.pl | zo.krakow@pzlow.pl

Kraków, dnia 2 marca 2022 r.

Zarządy Kół łowieckich
Krakowskiego Okręgu PZŁ

Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego w Krakowie zachęca gorąco do podjęcia współdziałania z zarządem okręgowym w celu udzielenia pomocy żołnierzom ukraińskim poprzez zbiórkę niżej wymienionych produktów:

- krótkofalówki,
- telefony komórkowe starego typu,
- latarki,
- baterie,
- naładowane powerbanki,
- bielizna termoaktywną,
- skarpety,
- chusteczki nasączone alkoholem,
- plastry na rany na podłożu tkaninowo - papierowym,
- bandaże,
- środki przeciwbólowe, ketonal, ibuprofen, paracetamol,
- octanisept,
- środki uspokajające,
- strzykawki, 2,5,10 ml,
- rękawiczki gumowe różnych rozmiarów,
- glukoza 200, 400 ml,
- gaza sterylna,
- glukometry i paski testowe,
- ampulki z lidokainą, deksalginą, meloksykamen,
- koce termiczne, śpiwory, maty do spania (z pokryciem foliowym),
- ubrania, peleryny przeciwdeszczowe,
- produkty żywnościowe - batony energetyczne, suszone owoce, orzechy, żywność puszkowana,
- zapalki, zapalniczki, świece.

Wszystkie zebrane produkty zostaną przekazane na przejście graniczne w Korczowej gdzie kanałem przerzutowym trafią bezpośrednio na linię frontu.

Prosimy również o rozważenie możliwości przekazanie środków finansowych na nasze konto nr **56 1240 4722 1111 0000 4858 8201** PeKaO S.A. dopiskiem POMOC UKRAINA.

Zgromadzone środki zostaną wykorzystane na zakup najpotrzebniejszych rzeczy dla ukraińskich uchodźców, którzy są już ulokowani w wielu domach myśliwych naszego okręgu oraz na zakup akumulatorów, które są również niezbędnie potrzebne do sprzętu wojskowego.

W dniu 1 marca 2021 r. kilkunastu myśliwych okręgu krakowskiego wzięło udział w wyjeździe na granicę z Ukrainą. Z granicy zostały przetransportowane 75 osób do miejsc docelowych na terenie naszego kraju. Poniżej link do relacji: <https://fb.watch/bv2p6Ltpup>

Przewodniczący Zarządu Okręgowego
Polskiego Związku Łowieckiego
w Krakowie

Aleksandra Dzięcioł-Gęsiarz



VETO

WOBEC NIECHCIANEGO KOLEGI



Zgodnie z przepisami każdy myśliwy może być jednocześnie członkiem wielu kół łowieckich. Wraz z wprowadzeniem w 2019 roku nowego, aktualnie obowiązującego Statutu PZŁ zniknął też – istniejący od lat – podział kół na macierzyste i niemacierzyste, co oznacza, iż obecnie myśliwy może ubiegać się o wybór do władz dowolnego koła, do którego przynależy, a nie tylko – jak poprzednio – tylko swojego koła macierzystego.

Akces do koła zawsze odbywa się z inicjatywy ubiegającego się o przyjęcie w poczet członków myśliwego, który w tym celu obowiązany jest złożyć pisemną deklarację na ręce zarządu wybranego koła łowieckiego. Wzór deklaracji stanowi załącznik do Statutu PZŁ. Po złożeniu wymaganych do-

kumentów zarząd koła ma obowiązek w ciągu 90 dni rozpatrzyć sprawę i podjąć uchwałę w przedmiocie przyjęcia do koła. Dalsza procedura jest uzależniona od tego czy zarząd zdecydował się na włączenie kolejnego członka do koła.

Niezależnie od treści uchwały zarząd ma obowiązek w ciągu 30 dni poinformować o swej decyzji kolegę, który starał się o przyjęcie do koła.

Zarząd odmawia

Jeżeli zarząd nie zgodził się na przyjęcie nowego myśliwego, wówczas uchwała winna zawierać pisemne uzasadnienie, w którym przedstawione zostaną motywy i przyczyny podjęcia takiej, a nie innej decyzji.

Warto przy tym nadmienić, iż zarówno Statut PZŁ, jak i ustawa „Prawo łowieckie”

nie precyzują, jakimi kryteriami winien kierować się zarząd (bądź walne zgromadzenie jako organ odwoławczy) przy podejmowaniu decyzji w przedmiocie przyjęcia nowego członka do koła. Przepisy przewidują tylko ogólną normę, że pierwszeństwo w przyjęciu do koła ma myśliwy zamieszkały na terenie dzierżawionego przez to koło obwodu łowieckiego, chyba że połowa członków już spełnia ten warunek. Oznacza to, iż kwestia przyjmowania nowych członków do koła została pozostawiona zasadniczo swobodnemu uznaniu organów koła.

Od uchwały odmownej, w nieprzekraczalnym terminie 14 dni, zainteresowanemu przysługuje prawo do odwołania, które powinno zostać złożone za pośrednictwem zarządu, do najwyższej władzy w kole, czyli walnego zgromadzenia. Rozpoznanie odwołania powinno zostać zaplanowane w porządku najbliższych obrad tego organu. Decyzja w sprawie ponownego rozpatrzenia sprawy przyjęcia do koła zapada w formie uchwały, w której walne zgromadzenie może nie uwzględnić odwołania (co będzie równoznaczne z podtrzymaniem decyzji zarządu) albo zmienić zaskarżoną uchwałę i przyjąć zainteresowanego w poczet członków koła. Jak się wydaje, walne zgromadzenie może też uchylić zaskarżoną uchwałę i przekazać zarządowi sprawę do ponownego rozpoznania.

Cała procedura kończy się, jeżeli walne zgromadzenie nie uwzględni odwołania bądź zmieni je w kierunku zgodnym z oczekiwaniami zainteresowanego kandydata. Uchwała taka jest ostateczna oraz, w przypadku przyjęcia do koła, dodatkowo pod warunkiem uiszczenia wpisowego, wykonalna. Warto podkreślić, iż od negatywnej uchwały walnego zgromadzenia zainteresowanemu nie przysługuje odwołanie do sądu okręgowego, o którym mowa w art. 33 ust. 6 ustawy „Prawo łowieckie”. Zasadniczo jedyną podstawą do wzruszenia uchwały jest ewentualna uchwała właściwego zarządu okręgowego, który w trybie nadzoru nad kołami łowieckimi, uchyla sprzeczne z prawem bądź Statutem PZŁ uchwały kół łowieckich.

Zarząd akceptuje, a członkowie?

W przypadku uchwały negatywnej procedura odwoławcza jest zbieżna z tą, którą określał dawny Statut PZŁ. Natomiast swoiste novum legislacyjne wprowadzono w przypadku podjęcia uchwały o przyjęciu nowego myśliwego w poczet członków koła. W takiej bowiem sytuacji zarząd ma obowiązek poinformować o swej decyzji wszystkich pozostałych członków drogą elektroniczną (e-mail, SMS, komunikator internetowy) lub w inny określony przez walne zgromadzenie sposób. W terminie kolejnych 30 dni członkowie koła w liczbie co najmniej 1/3 dotychczasowego składu koła mogą wnieść odwołanie od rzeczonych uchwał.

Odwołanie – dla swej skuteczności prawnej – winno spełniać jedynie dwa wymogi formalne, tj. zostać złożone z dochowaniem statutowego terminu oraz pochodzić od kolegów, którzy swą liczbą stanowią co najmniej trzecią część koła. Uchylenie tym warunkom spowoduje bezskuteczność wniesionego odwołania, co spowoduje, że kwestionowana uchwała stanie się ostateczna. Przepisy nie określają innych koniecznych elementów takiego odwołania, aczkolwiek z uwagi na fakt, iż – podobnie jak odwołanie kandydata od odmownej uchwały zarządu – trafia ono do rozpoznania na obrady walnego zgromadzenia, zalecanym jest, aby zawierało ono więcej niż samo wyrażenie niezadowolenia kolegów z powiększenia liczby członków koła przez zarząd.

Istotnym aspektem całej procedury jest fakt, iż w razie zaskarżenia przez członków koła uchwały zarządu o przyjęciu nowego myśliwego w poczet członków koła, decyzja ta nie staje się ostateczna aż do momentu rozpatrzenia odwołania. Zatem osoba, którą zaakceptował zarząd, lecz sprzeciwili się jej członkowie, zaskarżając uchwałę, nie nabywa członkostwa w kole dopóty, dopóki walne zgromadzenie nie podtrzyma tej decyzji zarządu, co w praktyce może trwać nawet kilka miesięcy.

Mało tego, nawet jeśli okaże się, że poinformowani o przyjęciu nowego członka, pozostali myśliwi nie zaskarżą decyzji zarządu, i tak nowoprzyjęty myśliwy musi

począć aż upłynie przeznaczony na podjęcie takiej czynności czas, gdyż do tego momentu skuteczność jego przyjęcia do koła pozostaje z mocy Statutu PZŁ zawieszona.

Po zaskarżeniu uchwały zarządu o przyjęciu nowego myśliwego do koła, sprawę rozpatruje walne zgromadzenie tegoż koła. Organ ten może podjąć uchwałę o treści analogicznej, jak w przypadku opisanej powyżej procedury rozpatrywania środka odwoławczego złożonego przez zainteresowanego kandydata od negatywnej uchwały zarządu w przedmiocie przyjęcia.

Coś jeszcze?

Nawet jeśli cała procedura zakończy się pomyślnie dla kandydata, to jednak chcąc cieszyć się członkostwem koła musi on spełnić jeszcze jeden obowiązek. Chodzi o wpisowe, jeśli zostało ono w danym kole ustalone (co pozostaje w wyłącznej kompetencji walnego zgromadzenia).

W myśl bowiem przepisów nowego Statutu PZŁ, wykonalność uchwały o przyjęciu do koła (zarówno zarządu, jak organu odwoławczego – walnego zgromadzenia), jest wstrzymana do czasu uiszczenia wpisowego na rzecz koła. Dopiero z chwilą wpłaty tej kwoty w kasie koła lub jej zarachowania na rachunku bankowym, ubiegający się o przyjęcie kandydat staje się pełnoprawnym członkiem koła.

Tyle teorii, a co to oznacza w praktyce?

Instytucja zaskarżenia decyzji zarządu o przyjęciu nowego członka do koła jest krokiem w kierunku demokratyzacji działalności kół łowieckich, wyrazem zasady samostanowienia zrzeszonych w kole myśliwych, ale przede wszystkim znacznym wzmocnieniem pozycji walnego zgromadzenia i szeregowych członków względem zarządu.

Omawiane rozwiązanie, jak się wydaje, pomoże ukrócić spotykaną w niektórych kołach smutną praktykę polegającą na przyjmowaniu przez zarząd „swoich”, aby zapewnić sobie dodatkowe głosy na forum walnego zgromadzenia, uzyskać absolutum czy reelekcję. Jak wiadomo, takie dzia-

łania, to najczęściej prosta droga do głębokiej destabilizacji koła, eskalacji niepotrzebnych nikomu konfliktów i sporów, których roztrząsanie nierzadko dominuje nad radością wspólnego polowania.

Z drugiej zaś strony, ustanowiony warunek poparcia odwołania aż przez 1/3 członków (dla samej tylko skuteczności wniesienia) oraz określenie stosunkowo krótkiego (aczkolwiek i tak ponad dwa razy dłuższego niż w przypadku odwołań od uchwał organów Zrzeszenia dotyczących innych spraw) wydaje się być wystarczającym wymogiem prawnym, który przeciwdziała destabilizującą działalność koła pieniactwu czy wnoszeniu odwołań. Takie odwołania, nawet potencjalnie, nie miałyby szans powodzenia na rozpatrującym je walnym zgromadzeniu.

Na forum Krajowego Zjazdu Delegatów PZŁ oraz pracujących nad projektem Statutu PZŁ komisji zauważono, jak się wydaje, problem zbyt dużych kompetencji zarządu w zakresie decydowania o przyjęciu nowych członków do koła i w świetle postanowień obecnie obowiązującego Statutu PZŁ ostateczna decyzja czy dana osoba ma zostać włączona w poczet członków koła, należy łącznie do wszystkich członków koła, a nie tylko do zarządu.

Warto też zasygnalizować, że zmieniony został także tryb wykluczania członków z koła (z powodu m.in. rażącego naruszania zasad etyki lub dobrych obyczajów). O ile w świetle dawnego Statutu PZŁ z 2005 roku o wykluczeniu niekoleżeńskie kolegi z koła decydowało w pierwszej instancji walne zgromadzenie koła, zaś w drugiej właściwy zarząd okręgowy, o tyle obecnie przepisy przewidują, że kompetencje w tym zakresie posiada zarząd koła, zaś od jego uchwały zainteresowany myśliwy może odwołać się do walnego zgromadzenia, które – na gruncie Zrzeszenia – ma ostateczny głos w tej sprawie. Od uchwały walnego zgromadzenia przysługuje odwołanie tylko do sądu okręgowego.

Podsumowanie

Analiza omawianych powyżej instytucji daje jasny wniosek, że znacznie zwiększyły

się kompetencje nie tylko walnego zgromadzenia, lecz także szeregowych członków koła, którzy – prócz samego tylko statutowego ogólnego prawa do oceniania działalności koła czy współdecydowania o jego sprawach – uzyskali potężny instrument prawny pozwalający na wyrażenie swego weta wobec decyzji zarządu o dokooptowaniu nowego myśliwego do koła.

Instytucja odwołania członków koła od uchwały o przyjęciu do koła jest jednak stosunkowo nowa, zaś skutek braku szerszej kampanii informacyjnej czy świadomości prawnej niektórych myśliwych nie jest, jak się wydaje, powszechnie znana pośród członków Zrzeszenia czy we wszystkich kołach łowieckich.

Jakkolwiek, zarządy na ogół rzetelnie informują swych kolegów o przyjęciu nowego członka do koła, o tyle ci nie zawsze są zorientowani co do możliwości zaskarżenia takiej decyzji zarządu (wszak nie ma prawnego obowiązku pouczenia powiadamianych myśliwych o takim uprawnieniu). Zdarza się też, iż niektórzy myśliwi, jakkolwiek nie są zadowoleni z działania zarządu, nie chcą wnosić formalnego odwołania przeciwko przyjęciu nowego kolegi do koła, uważając że jest to działanie niekoleżeńskie czy niestosowne, gdyż niejako atakujące innego myśliwego, który ubiegał się o przyjęcie do ich koła.

Jaki z tego wniosek? Przepisy – przepisami, a życie – życiem! Wiele kół znajduje jednak wyjście z tej sytuacji i zapewnia sobie „bezkonfliktowe” przyjmowanie nowych członków do koła. Odbywa się to w ten sposób, iż po wpłynięciu kandydatury do koła chętnego myśliwego, zarząd (za zgodą zainteresowanego), przedstawia sprawę pozostałym członkom koła – w zależności od okoliczności – na walnym zgromadzeniu, polowaniu hubertowskim czy innym spotkaniu w szerszym kręgu (bądź tzw. „pocztą pantoflową”), by zasięgnąć opinii kolegów na temat ewentualnego przyjęcia ubiegającego się o to myśliwego.

W ten sposób, zarząd nie tylko postępuje zgodnie z wolą braci myśliwskiej zrzeszonej w kole, lecz przede wszystkim zawczasu eliminuje ewentualne niesnaski czy pretensje

związane z przyjęciem takiej czy innej osoby do koła.

Jak się wydaje, dokonywanie takiego „badania opinii” koła nie jest wykluczone również dzisiaj; być może jest ono nawet bardziej wskazane? Wszak fakt, iż niezadowoleni członkowie mogą wnieść odwołanie, nie wydaje się być asumptem do wniosku, że zarząd nie powinien na bieżąco informować kolegów o planowanym powiększeniu składu osobowego koła. Nikt przecież nie lubi być zaskakiwany i stawiany przed „faktem dokonanym”, zaś żadna, nawet najlepiej opracowana instytucja prawa pisanego nie zastąpi zdrowego rozsądku, koleżeństwa, zgody oraz poczucia poważnego i równego traktowania wśród myśliwych.



Karol Knofliczek
Miłośnik poznawania
ojczystej przyrody.
Myśliwy KŁ „Luboń”
w Lubniu od 2011
roku. Adwokat,
doradca podatkowy



rys. Hubert Zwinczak

A gdy bór obdarzy... czas na kuchnię

Mariusz Ligęza



KUGEL PO MYŚLIWSKU

Tradycyjna potrawa kuchni żydowskiej, choć znana także w kuchni litewskiej i polskiej. Kugle dzieli się na zwykłe (pikantne) oraz przyrządzane na słodko czyli coś w rodzaju deseru. My dzisiaj to danie zrobimy w wersji myśliwskiej, gdzie kaczkę lub gęś zastąpimy żeberkami i giczą z dzika. Co to jest kugel? To nic innego, jak zapiekanka ziemniaczana z farszem.

 *Smacznego!*

Składniki:

- 4 kg ziemniaków
- 2 gicze z dzika
- 0,5-0,7 kg żeberek z dzika
- 6 średniej wielkości cebul
- 16 jaj
- 4-6 ząbków czosnku
- 3 łyżki sadła z dzika
- sól, pieprz do smaku

Przygotowanie:

1. Ziemniaki i cebule obrać, umyć i zetrzeć osobno na drobnej tarce, masę ziemniaczaną odsączyć na sicie bez wyciskania.
2. Wybić jajka oddzielając żółtka od białek, białka ubić na sztywną pianę dodając odrobinę soli.
3. Żeberka i gicze wytrybować i pokroić na średniej wielkości kostkę, następnie podsmażyć w rondlu na sadle, dodając startą cebulę. Całość zrumienić.
4. Odsączone ziemniaki przełożyć do naczynia żaroodpornego dodając żółtka jaj, pokrojony drobno czosnek, podsmażone mięso z cebulą. Doprawiamy pieprzem i solą, a na sam koniec do masy dodajemy ubite białko z jajek, dokładnie mieszając.
5. Wstawiamy do piekarnika w przykrytym naczyniu na 3 godziny w temperaturze 190°. Pod koniec ściągamy pokrywę i pieczemy do uzyskania złotej skorupy.



Mariusz Ligęza
leśnik, myśliwy,
kolekcjoner, znawca
dobrej kuchni



Spis treści:

Źle się dzieje w państwie duńskim...	3
Marek Wajdzik	
Szakal złocisty – nowy gość w naszych łowiskach	4
Henryk Okarma	
Kolonie rybitw sprzyjają gniazdowaniu kaczek	9
Damian G. Wiehle	
Deformacje i zniekształcenia poroży u jeleniowatych	15
Marek Wajdzik	
Wyżeł a płochacz	22
Ewa Dobrzyńska-Lankosz	
Falery krakowskich kół łowieckich w moich zbiorach	27
Bogdan Kowalcze	
GZY – wiosenny problem sarny	26
Jerzy Kowal	
Cietrzewie w delcie Selengi	32
Andrzej Patola	
Staż łowiecki okiem łowczego	38
Jerzy Chmiel	
Historia łowów zawarta w przysłowia	44
Beata Malczewska	
20-lecie Zespołu Sygnalistów Myśliwskich „HAGARD”	48
Gabriel Chlebowski	
Wycena medalowa trofeów pozyskanych w sezonie 2021/2022	50
Mateusz Dudzik	
Medal Trofeum Małopolskie	56
Hubert Zwinczak	
O niezwykłym bohaterze Leonie Krzczunowiczu	58
Waldemar Smolski	
Na toku	64
Tomasz Zan	
Wiersze	69
o. Leon Zdzisław Pokorski	
Pomoc dla Ukrainy	70
Roman Barbasz	
Veto wobec niechcianego kolegi	72
Karol Knofliczek	
A gdy bór obdarzy... czas na kuchnię	76
Mariusz Ligęza	



WYDAWCA

Zarząd Okręgowy Polskiego Związku
Łowieckiego w Krakowie
ul. Żywiecka 12
30 - 427 Kraków
tel 12 634 25 34
e-mail: zo.krakow@pzlow.pl

REDAKTOR NACZELNY

Marek Wajdzik

REDAKCJA

Ewa Dobrzyńska-Lankosz

Roman Barbasz

Bogdan Kowalcze

Henryk Okarma

Wojciech Plewiński

Waldemar Smolski

Andrzej Tomek

Redaktor Graficzny

Hubert Zwinczak

stale współpracują:

Andrzej Łada i Rafał Łapiński

SKŁAD I ŁAMANIE

Hubert Zwinczak

DRUK

Drukarnia Standruk

Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść publikowanych materiałów i reklam, zastrzega sobie prawo nieodpłatnego publikowania nadesłanych artykułów oraz zdjęć, wraz z prawem do skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.

Zdjęcia na okładce:

Włodzimierz Puchalski str. 1,4

(ze zbiorów Muzeum w Niepołomicach)

Hubert Zwinczak str. 2

22-23 kwietnia 2022 / Kraków

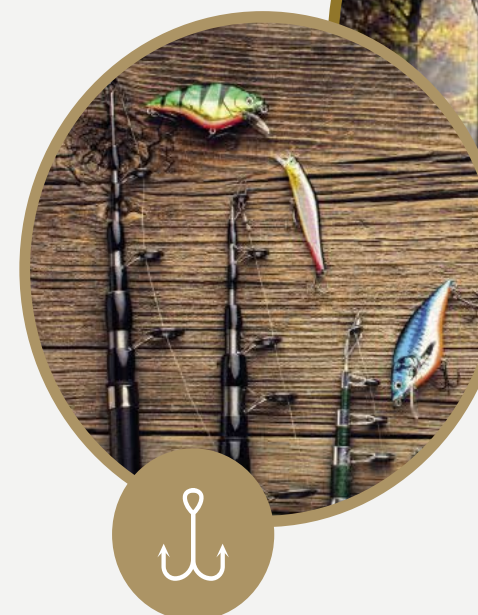


hunt & fish expo

Targi Łowiectwa i Wędkarstwa w Krakowie

**Kraków – nowe miejsce spotkań
branży łowieckiej i wędkarskiej!**

strefa leśna



strefa wędkarska



strefa
łowiecka



strefa survivalu
i outdooru



Organizator:



Miejsce Targów:



polub nas na



www.huntfishexpo.pl

